ŻYCIE

ROK XI NR 19 (516) NIEDZIELA, 12 MAJA 1957. CENA 1/6



WNĘTRZE KATEDRY LWOWSKIEJ, W KTÓREJ JAN KAZIMIERZ ZŁOŻYŁ HISTORYCZNE ŚLUBY
ZDJĘCIE DOKONANE W ROKU MARYJNYM 1957

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK XI NR 19(516)

Niedziela, 12 maja 1957 r

Wydaje:

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.
Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950. **Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego:** Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Życia".

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr.1.000. Kolor. 100% drożej. **PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca",** Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kułakowska,** 129 Rue du Cornet, Bruxelles 4. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks. K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers, Suite E,** 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen, N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N.J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt 3B, **Flushing 55, N.Y. Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja: Mgr. B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 9.75 krs. **Włochy: Mme Z. Bułhak-Jelska,** via Salaria 300 C Roma.

LISTY DO REDAKCJI

POLSCY BADACZE SYBERII

Szanowny Panie Redaktorze!

Z dawnego czysto religijnego pisma zrobiliście Panowie pismo o charakterze tygodnika o ogolnych wiadomościach, w rodzaju angielskich magazynów. Czy się to dobrze stało, nie moją rzeczą to osądzić. Od tego jest inna instytucja, czy inne instytucje.

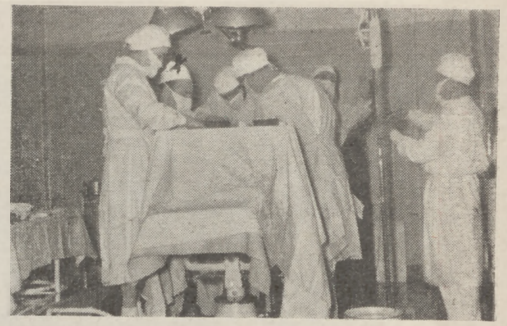
Gdy przeglądam natomiast ŻYCIE w obecnej jego postaci i treści, często denerwuje mnie brak konsekwencji w jego redagowaniu. Jako przykład podam ostatnie dwa numery, które przeglądnąłem, tj. 13/510 oraz 14/511. W nrze 13 spotykam ciekawy artykuł na stronie 10-11 „Złoto wycieka z Rosji", w nrze zaś 14 artykuł p. S. Legeżyńskiego „Rok geofizyczny" z jego niezmiernie ciekawą częścią „Polacy w pracach roku geofizycznego" (str. 15 i 18). Oba te artykuły wykazują brak konsekwencji w podawaniu polskiemu społeczeństwu emigracyjnemu o zasługach Polaków w badaniach dalekiego wschodu państwa rosyjskiego. W artykule „Złoto wycieka..." nie ma wcale wzmianki o badaniach geologicznych Polaków na Kołymie i nad Leną, Jenisiejem i Angarą. W artykule zaś p. Legeżyńskiego czytamy głównie o pracach Polaków w krajach tropikalnych, a nic prawie o pracach w krajach arktycznych. Chciałbym tylko zwrócić uwagę, nie wchodząc w szczegóły, że pierwszymi badaczami geologii wschodniej Syberii a zwłaszcza Angary, Leny, Oleneku i Wiłuju, Wierchojańska i Irkucka to nie kto inny jak były uczeń Liceum Krzemienieckiego Aleksander Czekanowski, z towarzącymi mu innymi powstańcami 1863 r., z których wymienię bodaj nazwisko Zygmunta Węgłowskiego, b. ucznia gimnazjum w Równem. Pracował A. Czekanowski z ramienia rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, Oddział Syberyjski, którego prezesem wówczas był Polak z Litwy gen. inż. Bolesław Kukiel (1869). W badaniach tych brał także udział Mikołaj Hartung, asystent prof. Fonberga na Uniwersytecie Wileńskim.

Innym niezmiernie ciekawym badaczem wschodniej Syberii był Jan Czerski z Wilna. Odbywał karę za powstanie — w batalionie w Omsku. W 1871 roku znalazł się w Irkucku, gdzie zawiązał przyjaźń z A. Czekanowskim, badaczem Bajkału, Dybowskim i innymi. wraz z M. Hartungiem badał góry Tunki i Kitoju i brzegi Bajkału. Okolice rzeki Selengi badał wespół z M. Witkowskim. Główne jego badania geologiczne to dorzecza: Jany, Indigirki i Kołymy. Zmarł 25 czerwca 1892 r. w trakcie badań, na tratwie na rzece Kołymie. Pochowany poniżej Średniego Kołymska w Omołonu Jukahirzy. Czekanowski Jan popełnił samobójstwo w Petersburgu 18 października 1876 r. O wszystkich polskich badaczach wschodniej Syberii bardzo ciepło pisze w IV tomie swej historii badań geologicznych Syberii Obruczew, podając jednocześnie fotografie tych badaczy. Niestety, nie pamiętam, czy Obruczew podał portrety wszystkich, nie mogę zaś tego sprawdzić, gdyż właśnie tego tomu nie ma w bibliotece British Museum. Godzi się pamiętać, że pierwszymi badaczami wschodniej Syberii byli właśnie Polacy z kręgu Krzemieniec — Wilno. Szczegółów tych badań i podróży badawnych tych badaczy nie podaję, gdyż musiałbym napisać b. wielki artykuł.

W związku z obecnymi badaniami Antarktyki warto by napisać artykuł o udziale w dawnych badaniach tych stron Dobrowolskiego, którego wspomnienia zawarte są w rzadkiej dzisiaj już jego książce „Wyprawy polarne". Książka ta znajduje się w Polskiej Bibliotece, której dyrektorką jest p. M. Danilewiczowa.

Raczy W. Pan Redaktor przyjąć wyrazy wysokiego poważania i szacunku

J. Hoffman
Londyn



Skomplikowana operacja usuwania części chorych płuc, „loboktomija". Operuje chirurg dr Papamichail (oznaczony krzyżykiem) w sanatrium greckim dr. Nikolana Bobola (Melissia — Attiki)

UZNANIE I WDZIĘCZNOŚĆ POLAKA DLA LEKARZY GRECKICH

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem katolikiem i stałym czytelnikiem Waszego ślicznego tygodnika ŻYCIE, które to mi stale przesyła SPK z Londynu.

Przebywam od kilku miesięcy w Grecji, w sanatorium dra Bobola (Melissia — Attiki) na leczeniu gruźlicy. Mam nadzieję, że wyjdę stąd wyleczony, bo wiele tu robią dla chorych. W sanatorium przeprowadza się z wielkim powodzeniem operacje płuc tzw. „Loboktomija", która polega na tym, że się wycina kawałek płuca zagrożonego, po czym chory bardzo szybko przychodzi do zdrowia. Operacje te nie są bardzo ciężkie, przeprowadza je jeden z najwybitniejszych chirurgów, dr Papamichail. W zeszłym tygodniu przeprowadził jedną z takich operacji i kiedy po operacji zeszyli rany, okazało się, że choremu serce przestało już bić. Dr Papamichail nie dał go jednak śmierci, nie darmo go przez tyle godzin ratował od gruźlicy! Zaszyte rany otwarto na nowo i lekarz ten przeprowadził operowanemu masaż serca. Masował dopóty, dopóki serce nie zaczęło znów funkcjonować. Potem jeszcze kilkugodzinne zabiegi i dopiero kiedy niebezpieczeństwo całkiem minęło chorego przewieziono z powrotem na salę. Uratowano go. Już obecnie wstał z łóżka i czuje się wyśmienicie. Jest to młody Grek Gieorgio T. Byłem niezwykle poruszony tym ratowaniem człowieka za wszelką cenę. Przesyłam fotografię z tej operacji i byłbym szczęśliwy, gdyby Pan Redaktor zechciał którą z nich zamieścić w ŻYCIU. Pewnie się ucieszą, gdy im pokażę, że o nich napisano, a naprawdę są tego warci. I mnie byłoby miło, że mogę choć w ten sposób — ja obcy — okazać im swoją wdzięczność i uznanie, że się tak nami opiekują troskliwie, zarówno chirurg, dr Papamichail, jak i dr Nikolan Bobola, właściciel sanatorium i wszyscy asystenci i pielęgniarze.

Mając nadzieję, że Pan Redaktor spełni to moje wielkie życzenie i serdeczną prośbę łączę wyrazy prawdziwego poważania

Alojzy Gaś
Grecja

KRONIKA

WIECZÓR AUTORSKI

Józef Żywina wystąpił na swoim wieczorze autorskim nie tylko jako poeta, ale też jako dramaturg. Jako poeta jest on znany szeroko na emigracji, gdyż cały rozwój poetycki przepada u niego na wojnę i lata emigracyjne. Debiutował jednak, publikując kilka wierszy w prasie gimnazjalnej, już przed wojną w Polsce.

Wieczór otworzył Tymon Terlecki, a omówienie literackie twórczości Żywiny dał Józef Bujnowski, towarzysz autora z walk we Włoszech. Bujnowski omówił tematykę Żywiny: młodzieńczą przygodę, krajobraz, umiłowanie kraju ojczystego, zalążki epiki, komunikatywność — zrozumiałą w poezji żołnierskiej, która musiała być zrozumiała dla odbiorcy żołnierza. Elementy formalne zakłócone są problematyką społeczno-polityczną.

Autor, Tola Korian i Wiesław Mirecki czytali na przemian fragmenty z pierwszego tomu poezji wydanego we Włoszech „Rozmowa z księżycem" i z dwu innych nie wydanych jeszcze drukiem: „Notatnika z pola bitwy" i „Wilczych ziół". Ponadto szereg aktorów: B. Łubieńska, W. Mirecki, S. Laskowski, M. Arczyńska i J. Bzowski odczytało akt pierwszy z jego sztuki pt. „Tama", dziejącej się współcześnie na emigracji.

Przepełnienie sali, gorące brawa i serdeczne podziękowanie, które otrzymał autor i wykonawcy, dowodzą, że poezja jest ceniona na emigracji i że Józef Żywina jest popularnym poetą.

Każdy ze słuchaczy otrzymał program wieczoru.

S. L.

ZWIĄZEK POLSK. ZIEM ZACHODNICH

Dnia 27 kwietnia br. odbyło się w Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego walne zebranie Związku Polskich Ziem Zachodnich w Londynie.

Po udzieleniu ustępującemu zarządowi jednagłośnie absolutorium wybrano nowy zarząd w składzie: prezes S. Krause, wiceprezesi — dr F. Bajorek, J. Kłosek, Z. Poklękowski, członkowie — R. Flieger, J. Grzechowiak, P. Hęciak, St. Kolańczyk, M. Mela, A. Robiński. W wyborach uzupełniających do Rady ZPZZ weszli: St. Brewka, E. Kołodziej, K. Majewski, J. Pyszko, E. Raczyński i E. Sojka. Do komisji rewizyjnej: F. Biel, A. Bzdawka, A. Jasieniecki i J. Skiera.

Walnemu zjazdowi przewodniczył M. Mela.

UDZIAŁ OSÓB PRZYJEZDNYCH Z POLSKI W PIELGRZYMKACH DO LOURDES

Wobec licznych zapytań podajemy do wiadomości, że osoby czasowo przybyłe z Polski do Wielkiej Brytanii, mogą wziąć udział w tegorocznej pielgrzymce polskiej do Lourdes, wyjeżdżającej z Londynu w dniu 13 sierpnia (powrót 19 sierpnia wieczorem), o ile zgłoszenia tych osób wpłyną do nas jak najszybciej, gdyż formalności wizowe w tych wypadkach, wymagają znacznie więcej czasu i specjalnej zgody władz francuskich, którą mamy obiecaną.

Informacje i zgłoszenia: Instytut Polski Akcji Katolickiej w W. Brytanii, 51 Eaton Place, London, S. W. 1.

PUNKTY WIDZENIA

TO TEŻ NASZE ZOBOWIĄZANIE

Zakończenie Roku Królowej Polski odbyło się uroczyście 3 maja br. na Jasnej Górze, ale główny akcent padł na powszechne odnowienie Ślubowań Jasnogórskich przez cały naród w swoich parafiach w Kraju i na obczyźnie w ostatnią niedzielę, dnia 5 maja. Położono bowiem nacisk nie na stronę choćby najpobożniejszej manifestacji religijnej, ale na znacznie skromniejsze i mniej okazałe przeniesienie treści ślubowań na teren ich realizacji w szarym, codziennym wysiłku życiowym, aby, jak się wyraził nasz Prymas, „każde słowo przyrzeczeń jasnogórskich weszło w naszą krew, myśli, wolę, uczucia, w każdy czyn nasz i w całe życie narodu".

Wśród zobowiązań jasnogórskich jest jedno, które szczególnie nas łączy z Krajem w trosce o przyszłość narodu i które nas w tym samym stopniu, chociaż w inym zakresie, niż naszych braci w Polsce wiąże. Jest nim wzięcie odpowiedzialności za młode pokolenie.

Istotę naszej odpowiedzialności ujmuje stare hasło wszelkiego rodzaju wychodźców i uchodźców polskich, które brzmi: wychować nasze dzieci w wierze, mowie, obyczaju i tradycjach ojców. W pełnieniu tego zadania trzeba włożyć świadomy i programowy wysiłek całego społeczeństwa polskiego na obczyźnie, podchodząc do niego z zapałem godnym tej dobrej i świętej sprawy, ale też całą rzetelność, z jaką wszelkie zadania wychowawcze powinny być podejmowane i przeprowadzane. Nie potrzeba chyba dodawać, że obowiązuje nas przy tym cały realizm, z którym trzeba podchodzić do warunków, w jakich znajduje się dziecko polskie na obczyźnie, podlegające wpływom obcego otoczenia i obcej szkoły oraz ze świadomością, że stosowane metody wychowania i nauczania ojczystego powinny odpowiadać metodom stosowanym w obcym otoczeniu a nawet je przewyższać. Wyniki wychowania polskiego powinny dziecko polskie wybijać ponad otoczenie. Zresztą w wielu ośrodkach polskich na obczyźnie ten wynik osiągnięto i zwrócił on uwagę miejscowych pedagogów.

W wychowaniu człowieka biorą udział: rodzina, Kościół, szkoła, organizacja młodzieży, zawód itd.

Zasadnicza i naważniejsza rola przypada rodzinie. Rodzice mają dać dzieciom wychowanie takie, jakie uważają za najlepsze. Zrozumiałe, że winni się do tego odpowiednio przygotować — są bowiem za swe dzieci przed Bogiem i Polską odpowiedzialni. Rola rodziny jest nie do zastąpienia — do tego przekonania musieli dojść nawet ci, którzy dla swoich celów chcą dziecko usuwać spod jej wpływów i muszą wobec jawnego bankructwa swoich metod znów do fundamentów rodzinnych powracać.

Na obczyźnie rodzina polska jest najpełniejszą ojczystą społecznością, na jej progu zatrzymuje się wszystko, co nie odpowiada celom i zadaniom tej rodziny. Oczywiście wtedy, gdy oboje rodzice, lub przynajmniej jedno z nich są tego celu świadomi i gdy umieją życiem rodziny kierować. Jeżeli życie jest sztuką, to prawdziwego artyzmu w tej dziedzinie nabywamy w dobrej rodzinie, przede wszystkim chrześcijańskiej. Gdy spotykamy na obczyźnie dziecko polskie szczególnie dobrze wychowane, to z pewnością jest to zasługą rodziców. Gdy się smucimy widząc wynaradawianie dzieci polskich, winę słusznie przypisujemy rodzicom.

Rodzina i życie rodzinne zawsze wymagają ofiar. W ofiarnym życiu rodziców mają swój udział moralny, a także materialny, nawet ludzie nie mający w ogóle rodzin lub dzieci. Wychowanie dziecka po polsku na obczyźnie wymaga jednak ofiar szczególnych od rodziców. Poczynając od postawienia sobie wyraźnego celu wychowania i jego ideału, muszą rodzice być gotowi na wiele ofiar ze swego wolnego czasu i osobistej wygody, aby móc naprawdę poświęcić się dzieciom. Ale i to nie wystarczy. Obserwując rodziny polskie dobrze wychowujące swe dzieci, dochodzę do wniosku, że bardzo ważna jest tu umiejętność wyboru między rzeczami koniecznymi a drugo- czy trzecio-rzędnymi. To wymaga decyzji i odwagi, gdy matka decyduje się dzieci swe gorzej ubierać i wystarczająco ale skromnie odżywiać, i nie weźmie dodatkowego zajęcia, które mogłoby pozbawić dzieci jej obecności przez część dnia. To samo dotyczy ojca, który dla niekoniecznego podwyższenia materialnej stopy życiowej „zabija się" dodatkową pracą wieczorną lub sobotnią i właściwie nie ma czasu dla swych dzieci i na życie rodzinne. Dlatego obszerniej o tym wspominam, że wiele rodzin polskich więcej dba o zewnętrzny dobrobyt dla dzieci, niż o tę atmosferę rodzinną, która w skromnych warunkach wytwarza w dziecku umiłowanie wartości prawdziwych i daje radość osiągania lepszych warunków materialnych drogą pracy i wysiłku własnego. Polska rodzina ma wszelkie warunki, aby być rozsądną i dobrą szkołą życia. „Inność" dzieci polskich w ich otoczeniu miejscowym niepokoi tylko nierozsądnych rodziców, natomiast to „inne" dziecko polskie jest bardzo cenione przez swoje otoczenie i obcego nauczyciela, który stwierdza, że to inne dziecko wpływa na roszerzenie zainteresowań całej klasy.

Drugim z kolei wychowawcą człowieka jest Kościół. Początkowo zastępują go rodzice, ucząc dziecko modlitwy, pierwszych prawd wiary, prowadząc na polskie nabożeństwa, wskazując na polski obyczaj i tradycje związane ze świętami roku kościelnego. Dziecko powinno poznać swego polskiego duszpasterza, wiedzieć, kim on jest, od niego pobierać naukę religii i przez niego być po polsku przygotowane do pierwszej spowiedzi i Komunii św. Tam, gdzie to jest niemożliwe, zadanie to musi spełnić polski nauczyciel czy inna osoba do tego przygotowana albo sami rodzice w porozumieniu z polskim kapłanem.

Trzecim czynnikiem wychowania jest szkoła przedmiotów ojczystych, w której spotyją się i uzupełniają najwymowniej wysiłki i starania rodziców, kapłana i nauczycieli. Tak się szczęśliwie ułożyło, że nasze szkoły przedmiotów ojczystych powstały z wzajemnego porozumienia kół rodzicielskich, naszych księży i ofiarnego nauczycielstwa naszego, zarówno tego doświadczonego jeszcze z Polski, jak i chętnych młodych, którzy do tego zadania się zgłosili. Element zawodowy nauczycielski znakomicie uzupełnił wysiłki rodziców i duszpasterzy, co ma błogosławione skutki dla dobra dziecka polskiego na obczyźnie.

Z czasem okazało się, że niezbędna jest społeczna organizacja oświatowa, coś w rodzaju polskiego ministerstwa oświaty na obczyźnie, która by programowo a także organizacyjnie ujmowała całość nauczania przedmiotów ojczystych. Tak powstała Polska Macierz Szkolna Zagranicą (PMSZ), która rozwija się w oparciu o piękne tradycje wielkich towarzystw oświatowych pod zaborami, jak i w okresie lat 1918-1939, i sięga na coraz dalsze tereny osiedlenia Polaków. Prace PMSZ, zwłaszcza w zakresie programu, metodyki i pomocy szkolnych są bardzo rozległe i bez nich trudno byłoby sobie wyobrazić naukę nie tylko we własnych szkołach PMSZ, ale i w szkołach utrzymywanych przez inne organizacje społeczne.

Dla spełnienia swoich zadań Macierz potrzebuje kapitału: moralnego w postaci poparcia jej dążeń i prac, oraz grosza ofiarodawców na jej cele. Budżet zarządu głównego Macierzy, oparty głównie na polskiej tradycyjnej daninie oświatowej, na Darze Narodowym 3 Maja, jest skromny jak na zadania i zasięg PMSZ, która nie może rozwinąć w całej pełni koniecznej działalności wydawniczej, szkolenia nowych sił nauczycielskich i częściej wizytować szkoły.

Polska Macierz Szkolna Zagranicą, która swą nazwę wzięła od matki, a więc od pierwszej i najbardziej oddanej wychowawczyni każdego człowieka, pragnie skutecznie wspomagać wysiłki rodziny polskiej na obczyźnie. Nie uczyni tego bez chętnych do pracy w jej kołach i bez środków materialnych, składanych na jej cele nie tylko przez bezpośrednio zainteresowanych rodziców, ale przez c a ł e społeczeństwo polskie.

Przypominamy to w maju, bo nasze radosne święto narodowe 3 Maja było i jest dniem, w którym zaczyna się zbiórka na Dar Narodowy, trwająca przez cały ten miesiąc.

Właściwością tej zbiórki było zawsze to, że każdy Polak szedł na spotkanie zbierających i dawał chętnie grosz.

Złóżmy nasz udział w oświatowej daninie tej części narodu, która jest za granicami Polski, ale która pragnie, aby jej dzieci żyły i pracowały dla Kraju. Tą ofiarnością i naszą czynną pracą w kołach Macierzy wypełniamy w znacznej części nasze zobowiązanie jasnogórskie: brania czynnej odpowiedzialności" za młode pokolenie polskie na obczyźnie i za odanie go Bogu i Polsce.

J. Cz.

Czy złożyłeś już ofiarę na polską szkołę na obczyznie?

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

ROK XI — NR 19(516) LONDYN, NIEDZIELA, 12 MAJA 1957



STRÓJ PRZECIWATOMOWY. Student szkoły Obrony Przeciwatomowej w Hamburgu. Jego postać okrywa peleryna i kaptur, do twarzy zaś przylega aparat „gammaskop" do wykrywania radioaktywności oraz „oko atomowe". Szkoła w Hamburgu specjalizuje się w wypróbowywaniu wszelkich najnowszych sposobów obrony przeciwatomowej.

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ŻYCIE KRAJU

GROŹBY SOWIECKIE

Niedawno „Prawda" moskiewska zaatakowała ostro polską partię komunistyczną, domagając się wyrzucenia z partii członków, na których nie można polegać i podjęcia energicznej kampanii ideologicznej przeciw elementom reakcyjnym i rewizjonistycznym. Organ sowiecki dopatrzył się w artykułach prasy krajowej wystąpień wrogich marksizmowi, Związkowi Sowieckiemu i innym krajom socjalistycznym. Warszawskie „Życie Partii" odrzuca, według „Prawdy", leninowską naukę o dyktaturze proletariatu, a inne pisma, pod pozorem uzasadnionej walki z biurokracją, napadają na cały aparat rządowy i nawet oczerniają sowiecką partię komunistyczną. Niektóre pisma polskie, twierdzi „Prawda", są po prostu „renegatami ruchu robotniczego".

Tego ideologicznego bałaganu tolerować nie wolno — poucza gazeta moskiewska polską komunistyczną hierarchię. Należy przedsięwziąć środki w celu poprawienia jakości szeregów PZPR oraz oraz rozpocząć intensywne szkolenie ideologiczne kadr. „Ofensywa przeciwko siłom wrogim socjalizmowi musi mieć absolutne pierwszeństwo w obecnych zadaniach partii i jej akcji na przyszłość.

Było to, w ciągu krótkiego czasu, drugie już wystąpienie „Prawdy" krytykujące sytuację wewnątrzną w Polsce. Poprzednio to samo pismo opisywało w sposób drastyczny dezorganizację polskiego ruchu młodzieży, oskarżając tę młodzież o nihilizm i anarchię oraz zarzucając jej unikanie partii. „Komsomolskaja Prawda" uzupełniła te oskarżenia zarzutem, że młodzież polska „dyskutuje o wolności zamiast budować socjalizm".

Dotychczas przedmiotem ataków tego rodzaju była wyłącznie Jugosławia, obecnie przyszła kolej na Polskę. Te dwa państwa, idące „własnymi drogami do socjalizmu", stanowią ciężki problem dla Moskwy. Istnieje narodowy komunizm, czy go nie ma? Nie ma narodowego komunizmu — odpowiada chórem prasa „obozu socjalistycznego", ponieważ komunizm jest z istoty swej międzynarodowy. Kadar w czasie swej ostatniej wizyty w Moskwie przyrównał narodowy komunizm do hitlerowskiego narodowego socjalizmu.

Lecz termin „komunizm narodowy" jest tylko konwencjonalnym, przyjętym na Zachodzie określeniem ‚własnych dróg do socjalizmu". Czy więc istnieją własne drogi do socjalizmu?

Zdawałoby się, że nie ma pod tym względem wątpliwości. W lecie roku 1955, w czasie wizyty Chruszczowa i Bułganina w Belgradzie, Moskwa proklamowała tezę, że „zagadnienia różnych systemów społecznych i różnych form rozwoju socjalistycznego są sprawą wewnętrzną każdego kraju". Dalszy bieg wydarzeń był tylko logicznym następstwem tej tezy. Obecnie Kreml stara się, jak ów uczeń czarnoksiężnika, wypędzić duchy, nad którymi nie potrafił zapanować.

Ofiarą gniewu sowieckiego padła przede wszystkim Jugosławia i nie należy się temu dziwić. Wszak gdyby nie proba Moskwy ugłaskania Tity i sprowadzenia tej marnotrawnej latorośli stalinizmu z powrotem do bloku sowieckiego, uznanie oficjalne „własnych dróg do socjalizmu" nigdy by nie nastąpiło. Gomułka pozostałby heretykiem i miałby zamkniętą drogę do władzy. Być może nie byłoby polskiego października ani rewolucji węgierskiej. Obecnie, gdy dwa kraje obozu socjalistycznego manifestują swoją niezależność, trudno utrzymać w ryzach inne.

Wysiłków jednak nie brak w tym kierunku. Jugosławia była już od dłuższego czasu przedmiotem ataków sowieckich za swe ideologiczne odchylenia, a zwłaszcza za odmowę przyjęcia oficjalnej tezy Moskwy, że wydarzenia na Węgrzech były wynikiem imperialistycznej, kontrrewolucyjnej intrygi. Owszem, można mówić o oparciu stosunków między krajami socjalistycznymi na zasadzie równości i braterskiej współpracy, lecz pod warunkiem uznania specjalnej pozycji Związku Sowieckiego. Wszystkie zwierzęta są równe, jak mówi Orwell, lecz niektóre są równiejsze od innych. Tę zasadę nierównej równości sformułował pojętnie Żywkow, przewodniczący delegacji bułgarskiej w czasie jej ostatniej wizyty w Moskwie. „Sądzimy — oświadczył on — że jakiekolwiek, choćby najmniejsze odchylenie od uznawania kierowniczej roli Związku Sowieckiego w obozie socjalistycznym nie da się pogodzić z prawdziwą walką o socjalizm."

Jest to właśnie formułka odpowiadająca Moskwie. Wyrazicielem jej, choć nie nadmiernie gorliwym, by także Czu-En-laj w czasie swego pobytu na Węgrzech i w Polsce. Chiny mają swe własne poglądy na drogi do socjalizmu, lecz nie leży w ich interesie osłabianie Moskwy. Dowiemy się niezadługo, co sądzi Mao-Tse-tung o własnych drogach i suwerenności.

Belgrad może się przyglądać atakom sowieckim ze względnym spokojem. Nie ma w Jugosławii wojsk sowieckich ani nie graniczy ona bezpośrednio z Rosją. Tito jest bezpieczny za wysokim murem swej narodowo-komunistycznej uzbrojonej przez Amerykanów fortecy. Moskwa odmówi mu kredytów i dostaw zboża? Na odsiecz przyjdzie Eisenhower, popłyną kredyty i dostawy amerykańskie. Jugosławia jest w wygodnej pozycji zalotnicy, o której wdzięki zabiega dwóch konkurentów.

Inaczej wygląda sytuacja w Polsce. Stoją tam dywizje sowieckie, interwencja zbrojna Moskwy, choć nieprawdopodobna, jest moż-

liwa. Prawdopodobniejsza jest próba zmuszenia reżymu Gomułki do uległości środkami presji gospodarczej. Przemysł polski, zwłaszcza ciężki przemysł przetwórczy, jest zależny od dostaw sowieckich. Polska potrzebuje zboża, a pomoc sowiecka wpływa opieszale i w małych dawkach. Ameryka, niestety, nie kwapi się zbytnio z udzieleniem Krajowi poważnej pomocy. Gomułka żadną miarą nie może pretendować do uprzywilejowanej pozycji Tity.

Czy w tych warunkach atak „Prawdy" na polską hierarchię partyjną jest zapowiedzią represji? Nie sądzimy, aby tak było. Jest to raczej środek psychologicznego nacisku, domaganie się nałożenia tłumika na nadmierne wybujałości dyskusji ideologicznej. Gomułka ten tłumik nakłada, prasa partyjna wypowiedziała walkę zarówno upiorom „burżuazyjnej reakcji", jak i rewizjonistom, sprowadzającym na manowce „budowę socjalizmu". Lecz istnieją granice dla wymuszonych przez Moskwę koncesji. Społeczeństwo polskie nie pogodzi się już więcej z ponownym narzuceniem mu stalinowskiej ideologii. Próba nawrotu do stalinizmu nie tylko pogrzebałaby i tak już nadszarpniętą popularność Gomułki, lecz stworzyłaby w Polsce sytuację wybuchową podobną do sytuacji na Węgrzech w jesieni ubiegłego roku.

Jeżeli Chruszczow i Bułganin myślą realnymi kategoriami politycznymi, do powtórzenia tej sytuacji dopuścić nie mogą. Zbyt drogo kosztowało ich zdławienie rewolucji węgierskiej, wywracając pieczołowicie opracowane koncepcje „współistnienia" i wyrywając tysiące wiernych z szeregów zachodnich kompartii. Wybuch w Polsce miałby poważniejsze konsekwencje niż powstanie węgierskie: groziłby przerzutem na Niemcy wschodnie z perspektywą światowej katastrofy.

Gniew „Prawdy" nie brzmi zatem tak złowieszczo, jakby się z pozorów wydawało. Skutków działania sił wyzwolonych przed dwoma laty odwrócić się już nie da. Taki jest bieg ubóstwianej przez marksistów historii.

Lecz Polsce grozi niebezpieczeństwo z innej strony: niebezpieczeństwo fermentu, wywołanego fatalną sytuacją gospodarczą, niedostatkiem i nędzą. I ten problem kryje w sobie wybuchowe możliwości, przytłaczając doraźnie swym ciężarem wszelkie inne. Otwiera on pole dla inicjatywy biernego dotąd Zachodu.

Leon Kownacki

NIEPOKÓJ MŁODZIEŻY I O MŁODZIEŻ

Zainteresowanie poświątecznej prasy krajowej — a w pierwszym rzędzie owych „tygodników społeczno-kulturalnych", których tyle namnożyło się lub nagle nabrało odwagi i znaczenia w ciągu ostatnich miesięcy — koncentruje się na dwóch zagadnieniach: samorządzie robotniczym i młodym pokoleniu. W przeciwieństwie do pierwszego z tych tematów, wokół którego pleni się typowe dla Polski popaździernikowej dyskutanctwo, doktrynalne, niezbyt — wbrew pozorom — szczere i w sumie raczej mętne, zagadnienie młodych, dorastających lub zaledwie dorosłych pod „władzą ludową" roczników omawiane jest z widoczną w atmosferze dobrą wolą, a przede wszystkim z troską i szczerym niepokojem.

W krakowskim „Życiu Literackim" (nr 16 /274) Konstanty Grzybowski tak zaczyna artykuł pod dobrym tytułem: „Młodzież — nie »najlepsza« — dobra!": „Z częstą u nas skłonnością do zmiany oceny zjawisk, w miejsce twierdzenia, że mamy „najwspanialszą młodzież świata", pojawił się pogląd uważający za niemal reprezentatywne jej typy chuligana i prostytutkę. Z tą samą skłonnością w miejsce zdania, że młodzież ta była wiernym sojusznikiem klasy robotniczej w dniach październikowych — pojawia się nieraz twierdzenie, że ta sama młodzież dziś zniechęca robotników do socjalizmu. Na węższym terenie: po zdaniu, że wyniki studiów tej młodzieży są lepsze niż kiedykolwiek, zaczyna dziś coraz częściej panować pogląd, że nigdy jeszcze nie było u nas młodzieży tak nie przygotowanej, tak leniwej i tak niechętnej. Przerzucanie się w ocenach młodzieży z jednej skrajności w drugą świadczy źle nie tyle o tej młodzieży i jej dojrzałości, ile o dojrzałości i rozwadze oceniających."

Grzybowski przyznaje zresztą szczerze, że na wiele pytań dotyczących tego młodego pokolenia sam nie znalazł jeszcze odpowiedzi: „Jeśli młodzież ta jest antydogmatyczna, chcąca mieć prawo wątpienia i pytania, chcąca mieć prawo nieskrępowanej konfrontacji założeń socjalizmu — który przyjmuje (czy aby na pewno — przyp. ŻYCIA) — z jego realizacją — którą nieraz kwestionuje — to jak ten antydogmatyzm pogodzić z silnymi niewątpliwie wpływami katolicyzmu wśród młodzieży? Jak pogodzić to z faktem, że wśród licznych przedmiotów dyskusji i pytań, katolicka doktryna społeczna wzbudza najmniej zainteresowania? Jak pogodzić to z faktem, że nie wzbudza go katolicka nauka o własności."

Być może, że p. Grzybowski łatwiej znalazłby odpowiedź na powyższe pytania, gdyby postarał się zrozumieć, że z doktryny katolickiej nie można sobie dowolnie wybierać — i kazać wybierać innym — jedynie te paragrafy, które są w danej koniunkturze politycznej potrzebne, przemilczając inne, mniej wygodne; przede wszystkim zaś gdyby uświadomił sobie, lub po prostu przyznał, że wie, iż katolickie dogmaty wiary nie mają nic wspólnego z „dogmatyzmem" socjalistycznym.

A Z CZEGO TA MŁODZIEŻ ŻYJE?

W tym samym „Życiu Literackim" znajdujemy zestawienie danych (zebranych w drodze ankiety) o położeniu materialnym i warunkach życia młodzieży akademickiej. Rzecz dzieje się w Krakowie, mieście oszczędzonym przez wojnę, w którym liczba studentów przekracza dziś 20 tysięcy.

Dowiadujemy się m. in., że na 656 słuchaczy wydziału filozoficznego na Uniwersytecie Jagiellońskim — stypendium otrzymuje 503 osoby. Budżet miesięczny tych stypendystów waha się w granicach 260-495 złotych (oto przyczyna przepełnienia sanatoriów studentami — przypisek ŻYCIA). Ci co stypendium nie otrzymali, utrzymują się z pomocy rodzinnej, która wynosi przeciętnie 100 (sto) zł. oraz z dorywczej pracy zarobkowej. Oto kilka odpowiedzi na ankietę:

„Stypendium nie otrzymuję, utrzymują mnie rodzice, przy czym pracuje tylko ojciec, a jest nas pięcioro. Ja nie zarabiam. Chciałabym udzielać lekcji, ale nie mam na to czasu."

Studentka X: „Wyłącznym środkiem mojego utrzymania jest praca zarobkowa (740 zł.), na którą otrzymałam pozwolenie z dziekanatu. Pracuję w godzinach popołudniowych (16.30 — 21.00). Stypendium nie pobieram, ani nie otrzymuję żadnej pomocy od rodziny, gdyż jej nie mam..."

Studentka Y: „Stypendium nie otrzymuję (cofnięte), a ponieważ z domu nie mogę spodziewać się pomocy (7 osób na utrzymaniu ojca), zmuszona zostałam zarabiać na swe utrzymanie sama. Zostałam dawczynią krwi... Niestety tylko raz na dwa miesiące przetaczalnia pobiera krew i wypłaca za 450 gramow — 510 złotych. Jak na 2 miesiące jest to tak mało, że nie wystarcza nie tylko na rozrywki, ale bardzo często i na jedzenie... Szukam jakiejś pracy, korepetycji, lub innej, niestety, bez rezultatu."

Spośród 2962 osób studiujących na Uniwersytecie Jagielońskim, z tzw. „akademików" czyli domów akademickich korzysta 1.600. A reszta?

Student K. powiada: „Mieszkam prywatnie, przy obcej rodzinie składającej się trzech osób. Pokój wspólny. Trudno mówić o warunkach".

Pewna studentka lakonicznie: „Pokój przechodni — zimny".

Wysokość czynszu: 150 — 200 złotych.

Czterech studentów, odpowiadając na pytanie zaznacza, że odkładają na cele kulturalne pewne kwoty, ale muszą uszczuplać fundusze przeznaczone na zakup żywności.

Fragment rozmowy: „Najbardziej ubolewam nad niemożnością kupna książek, które wychodzą."

ŹRÓDŁA CHULIGAŃSTWA

W katowisko-opolskim tygodniku „Przemiany" z 21 kwietnia rozważania „Co z młodzieżą" pióra Adama Karcza, dotyczą raczej młodzieży robotniczej lub bezrobotnej: „...W hotelu przy ul. Suchej w Sosnowcu E. Niechciał i St. Sroga tak pobili mieszkańca hotelu J. Maca, że ten niezdolny był do pracy na przeciąg 3 tygodni. W Domu Górnika kop. „Gottwald" na zabawie kopalnianej chuligani zabili 19-letniego St. Wojtasa. W kopalni „Łagiewniki"... w ruch poszły noże..."

„...Problem chuligaństwa wiąże się ściśle z problemem młodzieży wytrąconej ze swego normalnego trybu życia i wtłoczonej w gimnazja, technika czy hotele robotnicze; młodzieży pozbawionej opieki matek, uganiających się za jakąś pensyjką pozwalającą zrównoważyć zachwiany budżet rodzinny; młodzieży pamiętającej okrucieństwa i nędzę wojny..."

Inną przyczynę rozkrzewienia się chuligaństwa widzi Karcz w bezkarności młodzieży, która „...mogła bezkarnie krytykować swych profesorów na zebraniach ZMP; mogła się na nich skarżyć w wyżej wymienionej organizacji. Czy mogła szanować swych wychowawców? Czy profesor był autorytetem? Nie, autorytetem stawał się jakiś nieuk trzęsący „niegramotną" ręką organizacją młodzieżową. Był on zresztą tylko autorytetem z łaski „wyższego szczebla"..."

Autor artykułu — zanim dojdzie do gorzkiego wniosku: „Co więc pozostało? Wódzia i dziewczynki, tak, to najłatwiejsze i mimo wszystko, najtańsze" — wplata nieoczekiwanie w swój artykuł taką interesującą i dla nas informację: „A czy wiecie — na przykład — że ta sama młodzież we Francji znajduje inne sposoby wyżycia się? Że jedną z najcharakterystyczniejszych cech współczesności francuskiej jest gwałtowny rozwój i upowszechnienie (tak, tak) poezji? Nakłady książek współczesnych poetów rosną we Francji zadziwiająco szybko i rozchwytywane są właśnie przez młodzież. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że we Francji młodzież jest czysta jak łza, nie. I tu zdarzają się takie czy inne wybryki chuligańskie; są jednak o wiele rzadsze i nie stanowią problemu. A dzieje się tak dlatego, że młodzież francuska odczuwa pewien głód estetyczny. Nie widzi celu życia jedynie w wyżyciu seksualnym. Młodzież ta ma pewne ideały (poezja, sztuka, nawet polityka) — i tu tkwi sedno całej sprawy."

JAK ZA NIEMCÓW

Felietonista „Nowej Kultury" „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się" (nakład 70.300) podpisujący się inicjałami KTT, pisze tym razem o „Życiu na niby" znajdując jeden z dowodów takiego życia w dzisiejszej Polsce w nowozałożonej przy ulicy Wiejskiej w Warszawie własnej kawiarni „Czytelnika". Inicjatywie tej prorokuje on duże powodzenie. „Akurat takie samo, jakie w czasie okupacji miały kawiarnie i kawiarenki, bary i barki warszawskie prowadzone przez „panie z towarzystwa", gdzie kawę lub wódkę podawały gwiazdy scen polskich, a bywało również, że w roli tapera brzdąkającego na fortepianie, występował Leon Schiller.

„Kto pamięta tamte warszawskie lokale, tego w nowej „czytelnikowskiej" kawiarni owiać musi chłód przerażenia. Kawiarnię „Czytelnika" prowadzą zredukowane redaktorki największej bodaj w Polsce instytucji wydawniczej. „Czytelnik", chcą oszczędzić swoim pracownikom niewesołego losu bezrobotnych, wyposażył własnym sumptem kawiarnię i w ten prosty sposób redaktorki zamienione w kelnerki lub barmanki nie znalazły się na lodzie: mają pracę, mają z czego żyć...

„Kawiarnia „Czytelnika" jest wdzięczna, sympatyczna, jest „na niby"; tak samo jak „na niby" Schiller był taperem, a Ćwiklińska kelnerką..."

KRÓTKI KOMUNIKAT „PO PROSTU"

„W związku z zamierzonym przejściem do czynnej pracy publicystycznej, redaktor naczelny „Po prostu" Eligiusz Lasota złożył rezygnację z zajmowanego stanowiska. Na ogólnym zebraniu zespołu redakcyjnego na redaktora naczelnego wybrano Ryszarda Turskiego, dotychczasowego zastępcę red. nacz. „Po prostu"."

Od dłuższego już czasu byliśmy na emigracji przekonani, że nastąpi to prędzej, czy później. Marksistowski Alcybiades w ostatnich wyborach — najpopularniejszy ponoć po Gomułce — kandydat na posła z Warszawy, nie mógł dłużej bezkarnie wywracać posągów bóstw i bożków. Zasługuje jednak na uwagę dialektyczna naprawdę logika komunikatu (usunięty z kierownictwa redakcji, żeby mógł czynnie pracować publicystycznie) — podejrzewamy, że to umyślny figiel zespołu redakcyjnego „Po prostu".

RACHUNKI ZA SZPICLOSTWO

W Szczecinie działa od pewnego czasu komisja weryfikacyjna zorganizowanego niedawno Związku Marynarzy i Rybaków Dalekomorskich. Dobrała się ona od razu do skóry osławionym „oficerom KO" (kulturalno - oświatowym), czyli konfidentom Urzędu Bezpieczeństwa na statkach.

Redaktor naczelny tygodnika społeczno - kulturalnego (jeszcze jednego, który urodził się w ubiegłym roku) Kazimierz Błahij tak pisze na ten temat: „Wyrzucano z pokładów za mieszczański życiorys. Odbierano kapitańskie dyplomy za jedną rozmowę z Polakiem w londyńskich dokach; doki mogły być zresztą różne: hamburskie, gandawskie lub sztokholmskie... aresztowano i skazywano za zegarek kupiony „Pod Grzybkiem", gdyż kontrwywiadowi było wiadomo, że pod sztokholmskim „Grzybkiem" filują „Kajtek" i jego naganiaczki... jeden z oficerów opiniował członków załogi statku w sposób następujący: „Chytry lis, instynktownie wyczuwa się w nim wroga klasowego"..."



CMENTARZ ORLĄT LWOWSKICH, aczkolwiek oszpecony barbarzyńskimi napisami „gości" sowieckich, wbrew pogłoskom, ostał się przed zagładą. Zdjęcia dokonał wysłannik tygodnika „Świat", wychodzącego w Warszawie, Wiesław Prażuch.

Niedawno odbyła się przed komisją weryfikacyjną sprawa niejakiego Jastrzębskiego, oskarżonego o to, że jako sekretarz POP (podstawowej organizacji partyjnej) w szczecińskiej Podstawowej Szkole Morskiej zajmował się szpiegowaniem swych kolegów, trudnił się donosicielstwem, szantażem wyłudzał materiały egzaminacyjne, a nawet na polecenie UB w roku 1952 spowodował usunięcie z ZMP jednego z kolegów, który należał w latach okupacji do AK.

Komisja odmówiła Jastrzębskiemu prawa pływania na statkach. Na podstawie zarządzenia ministra sprawiedliwości i ministra marynarki, nie ma on prawa odwoływania się od tej diecyzji, czyli — może iść do PGR-ów.

I tu Błahij zaczyna nieoczekiwanie bronić Jastrzębskiego posługując się m. in. argumentem, że „w najciemniejszych stalinowskich czasach istniało prawo umożliwiające skazanemu na śmierć odwołanie się o ułaskawienie do Rady Państwa (czy we wszystkich sprawach? — pyta ŻYCIE). Błahij przypomina dalej, że wykształcenie Jastrzębskiego na II oficera P.M.H. kosztowało państwo (w starej walucie) 2 miliony złotych.

Marynarze, którzy Jastrzębskiego przed komisją oskarżyli odpowiadają na to w liście ogłoszonym w następnym numerze „Ziemi i Morza", że szkody, które wyrządził on Polsce przez swą szpiclowską działalność — nie licząc krzywd wyrządzonych poszczególnym ludziom — kosztowały znacznie więcej.

W następnym z kolei numerze szczecińskiego tygodnika jest list samego Jastrzębskiego zawiadamiający redakcję, że wystąpił przeciw oskarżycielom na drogę sądową.

Sprawa ta nie jeszcze zamknięta. Nie jest też jedyna w swoim rodzaju.

ŻYCIE KATOLICKIE

KAPELANI WOJSKOWI BEZ MUNDURÓW

W nowotworzonej armii Niemieckiej Republiki Związkowej zorganizowano wojskowe duszpasterstwo, oparte na zupełnie nowych podstawach. Ojciec św. Pius XII zamianował kardynała Wendla, arcybiskupa Monachium i jednego z najwybitniejszych członków niemieckiego Episkopatu — katolickim biskupem wojskowym. Wkrótce potem Rada Kościoła Ewangelickiego zamianowała dra Kunsta szefem wojskowego duszpasterstwa protestanckiego. (Informacje z „Rheinischer Merkur")

Dawniej biskup polowy w Niemczech był tylko biskupem tytularnym i jako taki nie brał udziału w konferencjach Episkopatu w Fuldzie, toteż nowa nominacja kardynała Wendla wskazuje na wagę, jaką Stolica Apostolska przywiązuje obecnie do duszpasterstwa wojskowego i jak stara się organizację jego uniezależnić od hierarchii czysto wojskowej. Można więc mówić o organizacji równoległej, która o wiele mocniej wiąże duszpasterstwo wojskowe z opieką duchowną nad świeckimi.

Wyraża się to nie tylko tym, że kapelani wojskowi nie będą odtąd nosili mundurów i nie będą posiadali stopni wojskowych, ale przede wszystkim w tym, iż zamiast jednego kapelana katolickiego na dywizję (a więc od 10 do 12 tysięcy ludzi) obecnie będzie przypadał jeden na każdych 1.500 żołnierzy. Tak więc wojsko i rodziny wojskowe nie będą miały gorszej opieki duchownej niż cywile.

160 kapelanów katolickich zostaje powołanych ze wszystkich diecezyj według klucza i żaden z biskupów nie oponował przeciw wyznaczonej na jego diecezję liczbie, gdyż panuje doskonałe zrozumienie roli przyszłych duszpasterzy wojskowych w nowej armii niemieckiej. Służba kapelańska będzie trwała tylko 6 lat, po której zluzują kapelanów nowi kandydaci, co też wpłynie na silniejsze związanie duszpasterstwa wojskowego z cywilnym.

Ustawa przewiduje zwolnienie ze służby wojskowej studentów teologii i alumnów katolickich oraz zatwierdzonych pastorów, ale wypłynęło zagadnienie, czy przyszli kapelani nie powinni jednak lepiej poznać środowiska wojskowego przez to, że przejdą kurs rekrucki. Za tym przemawiają doświadczenia ostatniej wojny, gdy można było zauważyć dodatnie strony przebywania kleryków w szeregach wojskowych, zarówno ze względu na zrozumienie ich misji wśród żołnierzy jak i na zdobyte doświadczenia, tak ważne w przyszłej pracy duszpasterskiej w wojsku. Przeciwni temu twierdzą, że skoro kapłan katolicki nie musi być żonaty, aby zrozumieć zagadnienie rodziny i małżeństwa, a więc może też rozumieć sprawy wojska i żołnierzy bez kursu rekruckiego.

Organizacja duszpasterstwa katolickiego przewiduje mianowanie przez biskupa wojskowego swego wikariusza generalnego, który zasiądzie w ministerstwie wojny i któremu będą podlegali dziekani w poszczególnych okręgach wojskowych w liczbie sześciu, oraz dziekani dywizyjni. Do bezpośredniej pomocy wikariusz generalny będzie posiadał trzech dziekanów prowadzących działy personalny, duszpasterski i organizacyjny.

Każdy kapelan otrzymuje do swej dyspozycji samochód, sekretarza dla prowadzenia korespondencji i zarazem kościelnego. W każdym garnizonie będzie odpowiedniej wielkości kaplica dla wojska oraz specjalny pokój, w którym kapelan będzie mógł swobodnie rozmawiać z wiernymi. Już jest w opracowaniu przez komisję liturgiczną Episkopatu Niemiec specjalna książka do modlenia dla wojska; przewiduje się też wydawanie stałego czasopisma katolickiego dla żołnierzy.

Wiele też zależy od nastawienia dowódców wobec służby duszpasterskiej i dlatego nacisk ma być położony na szczególnie staranny dobór kapelanów dla szkół oficerskich i na ułożenie stosunków z najwyższymi dowódcami. Żołnierz musi mieć bowiem dostatecznie wiele czasu, aby nie tylko mógł przychodzić na Mszę św. w niedzielę, ale by mógł też brać udział w rekolekcjach, dniach skupienia i innych koniecznych praktykach. Bez tego cała organizacja pozostanie tylko nadbudówką bez realnego znaczenia duchowego dla żołnierza. Niemieccy katolicy stwierdzają mocno, że nie chcą, aby wojsko było „szkołą dla narodu", ale aby „żołnierz był obywatelem w mundurze, który swe chrześcijaństwo poważnie bierze, dla którego Dziesięć Przykazań coś znaczy i który nie uznaje moralności kierowanej zasadą, że cel uświęca środki".

Należy dodać, że armia wschodnio-niemiecka nie ma w ogóle duszpasterstwa wojskowego, bo za takie nie umożna uważać zabiegów zmierzających do wychowania żołnierza w bezbożnictwie.

»OSSERVATORE ROMANO«

Środa 27 marca: audiencje kanclerza Adenauera, ministra spraw zagranicznych Holandii dra Józefa Lunsa, wysokiego komisarza Narodów Zjednoczonych dla uciekinierów dra Augusta Lindta; posiedzenie św. Kongregacji Rytów, na którym omawiano cuda przypisywane wstawiennictwu błog. Gioacchina de Vedruna de Mas, wdowy, założycielki karmelitanek Miłości (chodzi o cuda potrzebne do jej kanonizacji) i nad pismami Sług Bożych ks Jakuba Rem, jezuity, i o. Jana Wincentego od Jezusa i Maryi, karmelity bosego; obszerny artykuł w sprawie echa przemówienia Papieża w dniu 6 marca do proboszczów i kaznodziejów Rzymu.

Czwartek 28 marca: audiencja premiera i ministra spraw zagranicznych Luksemburga dra Józefa Becha.

Piątek 29 marca: przemówienie na posiedzeniu Kongresu Stanów Zjednoczonych w dniu 12 marca z racji 18 rocznicy koronacji Piusa XII.

Sobota 30 marca: przemówienie Papieża (w języku niemieckim) do grupy młodzieży Chrześcijańsko - Demokratycznej Unii w Berlinie zachodnim.

Poniedziałek-wtorek 1-2 kwietnia: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do grupy osobistości Narodowego Stowarzyszenia Francuskiego Konstrukcyj Aeronautycznych „Sud Aviation"; list Papieża (w języku francuskim) do kardynała Feltina w trzechsetną rocznicę śmierci Jean Jacques Olier; audiencja nowego ambasadora Belgii dra Prospera Poswicka.

Środa 3 kwietnia: fotografia autografu modlitwy ułożonej przez Papieża dla Katolickiego Uniwersytetu Najśw. Serca w Mediolanie; przemówienie Papieża (w języku hiszpańskim) do studentów prawa uniwersytetu w Madrycie.

Czwartek 4 kwietnia: list Papieża (w języku łacińskim) z racji 450 rocznicy śmierci św. Franciszka a Paula; nominacja kardynała Stefana Wyszyńskiego protektorem służebnic Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny (dom macierzysty w Pleszewie) i zakonu św. Pawła pierwszego pustelnika (dom generalny na Jasnej Górze w Częstochowie).

Piątek 5 kwietnia: audiencja nowego ambasadora Hondurasu dra Franciszka Józefa Durona; list substytuta Sekretariatu Stanu Jego Świątobliwości z dyrektywami Ojca św. dla IV Międzynarodowego Katolickiego Kongresu Rolniczego; artykuł wstępny o prześladowaniu Kościoła na Węgrzech.

Niedziela 7 kwietnia: artykuł wstępny o katolikach w Rumunii.

Środa 10 kwietnia: zebranie św. Kongregacji Rytów, na którym dyskutowano o heroiczności cnót Sługi Bożej Marii od Jezusa, D'Oultremont, założycielki sióstr Matki Boskiej Wynagradzającej.

Piątek 12 kwietnia: przemówienie Papieża (w języku francuskim) do grupy córek Maryi Instytutu Trójcy Przenajświętszej (Trinità dei Monti) m. in. o Akcji Katolickiej.

Sobota 13 kwietnia: artykuł wstępny o Kościele na Węgrzech.

Niedziela 14 kwietnia: wezwanie kardynała wikariusza Rzymu, Clemente Micara, w sprawie modłów za Namiestnika Chrystusowego z racji zbliżającej się w dniu 13 maja 40 rocznicy jego konsekracji na biskupa; apel Papieskiego Dzieła Powołań Kapłańskich do tych, co cierpią; artykuł wstępny o zadaniach Akcji Katolickiej w czasach dzisiejszych pt. „Impegno urgente" w związku z przemówieniem Papieża (p. wyżej pod dniem 12 kwietnia).

ZA ŁUŻYCKĄ MIEDZĄ

Napisał K. ŁUKASZKIEWICZ

WSZYSTKICH SŁOWIAN DOMIZNA

Na zachodnich krańcu Słowiańszczyzny leży kraj, który był kiedyś jej ośrodkiem, skąd się rozeszła kultura zwana wenedską lub łużycką (od r. 1300 do r. 400 przed Chrystusem) piastunka wszystkich ludów słowiańskich. Nazwa kraju i ludności od niepamiętnych czasów jest ta sama — Łużyce i Łużanie lub Łużyczanie, z czasem równolegle — Serbowie łużyccy. Naród ten o języku zbliżonym bardzo do języków innych narodów zachodnio-słowiańskich, posiada niesłychaną żywotność. Pomimo tysiącletniej germanizacji w czasie której stracił 90% swojej narodowej substancji na rzecz Niemców, trwa uparcie na swej ziemi i po każdej najmniejszej nawet zmianie swej doli na lepsze, rozkwita bujnie do nowego życia.

Różne narody słowiańskie, zaprzątnięte własnymi nieszczęściami i żywotnymi problemami, nie zwracały na Łużyce w ciągu wieków prawie żadnej uwagi. Największej pomocy użyczali Łużyczanom zawsze Czesi. Za nimi daleko w tyle idą Polacy a jeszcze dalej Jugosłowianie i na tym liczba ich przyjaciół właściwie się kończy.

Literatura prołużycka jest dość obfita, ale trudno dostępna. Jedną z ostatnich książek jest praca Witolda Kochańskiego pt. „Bratni szczep Łużyczan". Kochański w czasie wojny był więziony razem z Łużyczanami w jednym z obozów koncentracyjnych w Niemczech. Dzieje łużyckie dociągnął w swej pracy do 1946 roku.

Następny okres, pierwsze dziesięciolecie powojenne, to okres upartej pracy nad odrodzeniem narodowym w zupełnie nowych warunkach.

WYZWOLENIE

Chcąc szkicowo bodaj przedstawić zdarzenia ostatnich dziesięciu lat na Łużycach, nie od rzeczy będzie nawiązać do dwóch epizodów z dziejów polsko-łużyckich. Gdy Polska wstępowała w krąg historii pisanej, Łużyce zapadały w niewolę. Margrabia Gero życie całe strawił i zaprzągł wszystkie siły saskie, aby złamać opór Łużyc. Górne Łużyce padły w 929 roku, a Dolne w 963 roku. Na krotko zajaśniało tam jeszcze światło wolności, gdy Bolesław Chrobry wraz z dzielnym synem swoim Mieszkiem i przy licznym udziale rycerstwa łużyckiego, po 16-letnich walkach złączył Łużyce z Polską. Złączył, ale nie wcielił, był królem polskim i księciem łużyckim. Był to rok 1018. Tragedią życia syna Chrobrego była strata Łużyc. Mieszko II zagrożony koalicją wrogów zewnątrz i buntem pogaństwa wewnątrz swego państwa, dla ratowania dzielnic macierzystych, po zażartych walkach wycofuje się z Łużyc. Rycerstwo polskie opuściło Budyszyn w 1032 roku i zdawało się, że już nigdy do niego nie wróci.

A jednak żołnierze polscy tam wrócili. I to znowu po zażartych walkach, które trwały od 16 do 30 kwietnia 1945 pod Budyszynem. Na tyłach niemieckich wybuchła partyzantka łużycka. Dywizje polskiej armii, pozostające pod dowództwem gen. Berlinga, na przedpolu Budyszyna łamią kontroofensywę niemiecką. Budyszyn jest wolny.

Gdyby było więcej wyobraźni, znajomości problemu i wyczucia sytuacji u czynników wówczas decydujących, Łużyce mogłyby zacząć żyć życiem własnego państwa, słowiańskiego Luksemburga. Niestety, tak się nie stało. Łużyce nie dostały choćby autonomii terytorialnej, nie dostały choćby granic administracyjnych. Zasięg Łużyc trzeba zatem jak dawniej określać zasięgiem mowy serbskiej i biciem serbskich serc.

NOWA DOBA

Druga wojna światowa spowodowała wielkie przeobrażenie Rzeszy Niemieckiej. Na wschodzie odpadły od niej zagrabione w różnych czasach ziemie staropolskie, a środek Rzeszy — sowiecka strefa okupacyjna — przekształcony został w osobne państwo komunistyczne, Deutsche Demokratische Republik — DDR. Otóż ta DDR obejmuje właśnie tereny dawnych słowiańskich organizmów politycznych, w różnych czasach podbitych i następnie skolonizowanych przez różne szczepy niemieckie. Z licznej dawniejszej ludności słowiańskiej dochowały się tylko resztki, głównie Serbowie nad Elsterą, Sprewą i Nisą, czyli na Łużycach.

Niemiecka kompartia, obejmując władzę z rąk rosyjskich w 1945 roku była bardzo nieliczna i gorączkowo poszukiwała oparcia w terenie. Nie można się dziwić, że Łużyczanie najmniej mieli ochotę na powrót do roli bydła roboczego, do roli odżywki dla krwi niemieckiej. Duży odłam społeczności łużyckiej poparł nowe stosunki. Władze kompartii a potem rząd DDR w kolejnych dekretach w latach 1946-1955 zrównały Łużyczan we wszystkich prawach państwowych z Niemcami, a ponadto zostali oni uznani za drugi naród w państwie z prawem do rozwoju własnej kultury, języka, szkolnictwa i dwujęzyczności na obszarach większości zasiedlenia. Instytucje narodowe serbo-łużyckie są finansowane przez rząd. Za te ulgi Łużyczanie mają być lojalnymi obywatelami DDR ,muszą walczyć o zjednoczenie Niemiec i budować komunizm. Obecnie współżycie obu narodów w DDR upływa pod hasłem wspólnej ojczyzny Niemców i Serbów. Wyrażając to ściślej wypada stwierdzić, że DDR jest — w ramach obecnego bloku sowieckiego — kondominium dwu narodów, liczniejszego Niemców i o wiele mniej licznego Serbo-Łużyczan.



Fragment starego Budziszyna

Tymczasem wiedza o Łużycach — i to tylko książkowa — mieszka kątem w nielicznych gabinetach slawistów i nie ma komu szerzyć jej po świecie. Wobec dziwnej obojętności dzisiejszej Polski na te sprawy, na Polonię spadł jeszcze jeden obowiązek; propagować Łużyce.

Do pierwszej wojny światowej istniała i znana była narodom zachodnim tzw. sprawa polska. Obecnie po drugiej wojnie światowej wyłania się „sprawa łużycka". Powinna ona być sprawą nie tylko samych Łużyczan, ale i wszystkich Słowian, a także i innych narodów, dążących do uporządkowania stosunków i do prawdziwego pokoju w Europie.

SERBSTWO MUSI TRWAĆ

W końcowej fazie ostatniej wojny Łużyce stały w ogniu walk i pożarów. Opuszczając te tereny Niemcy byli przekonani, że kraj dostanie się w ręce Łużyczan. Plan przesiedlenia całej ludności łużyckiej do Alzacji nie został wykonany ze względu na niepowodzenia wojenne. Z chwilą zbliżania się frontu nad Odrę wybuchła paniczna wiadomość, że Gestapo ma wystrzelać całą ludność słowiańską. Szybki pośpiech ofensywy zniweczył ten zamiar. Tylko SS-mani w szale nienawiści puszczali z dymem nie tylko obiekty wojskowe, ale i cywilne. Spłonął doszczętnie, podpalony Serbski Dom w Budziszynie ze wszystkimi zbiorami i dokumentami, gromadzonymi mozolnie przez dziesiątki lat. SS-mani oblali benzyną mury, a tamtejszy starosta własnoręcznie przyłożył płonącą żagiew, wzniecając pożar klasztoru i kościoła Maryjnej Gwiazdy, która jest jakby łużycką Częstochową. Paliły się ludzkie sadyby, ale nie można było wypalić miłości do ojczystego kraju. Dzisiaj jest wszystko odbudowane. Maryjna Gwiazda stoi piękniejsza, niż przedtem. Niedawno ukończono nowy, większy i okazalszy Dom Serbski w Budyszynie. W miasteczkach i wioskach już od dawna nie widzi się ruin. Spokój i praca panują na Łużycach.

Jednej tylko rzeczy nie spostrzega się dzisiaj w życiu Łużyckim — ruchu wolnościowego. Tępiony zaciekle przed wojną, podczas wojny ukryty pod niemieckimi mundurami, po wojnie wybuchł z siłą żywiołu, ale na bardzo krótko. Już w 1946 roku ster rządu dusz łużyckich przejęli nieliczni komuniści. Ich organem wykonawczym stała się Domowina, dawniejszy związek narodowy towarzystw serbo-łużyckich, a dzisiaj jedyna organizacja, skupiająca w sobie całość spraw kulturalnych i wychowawczych, ażeby nie powiedzieć — propagandowych.

Odium za te zmiany wziął na siebie przed społeczeństwem serbo-łużyckim Kurt Krjeńc. Za młodu robotnik kamieniarski, dzisiaj autor powieści psychologicznej. Od 10 lat prezes Domowiny i od trzydziestu lat członek kompartii niemieckiej. Czasem o sobie mówi, że jest wychowankiem „Sokoła". Coś jakby sokolego w nim tkwi. Poszedłszy na daleko idący kompromis, to co mu przyrzeczono realizuje z żelazną energią. Cały legion ludzi bez względu na warunki i przekonania zaprzągł się do pracy. Krzewi się szkolnictwo powszechne i średnie. Młodzież uczęszcza na uniwersytety. Serbski ludowy ansambl tańczy, śpiewa i gra. Liczne zespoły amatorskie konkurują o lepsze. Teatr objeżdża najbardziej zapadłe kąty. Literaci piszą dzień i noc, książka wychodzi za książką. Wychodzi prasa codzienna, ukazują się doskonałe pisma periodyczne. Odbywają się zjazdy, konferencje,

dyskusje. Krzewią się sztuki piękne, odradzają się i upowszechniają stare zwyczaje ludowe i sztuka ludowa. Programy radiowe nadawane są trzy razy w tygodniu. Ogląda się już pierwsze filmy łużyckiego folkloru. Rejestruje się na płytach melodie i pieśni ludowe. Rośnie liczba tych, którzy przyznają się do serbstwa, realizując w pełni hasło wyryte na frontonie spalonego starego Domu Serbskiego: „Trwać musi Serbstwo i pozostać".

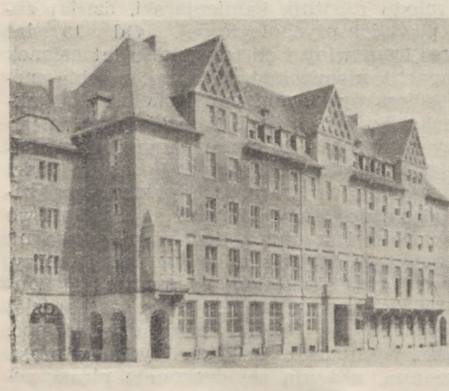
CZARNA POMPA

Może prastara droga handlowa wykręciłaby w innym kierunku, gdyby nie śpiew żórawia studziennego przy pewnym brodzie. Żóraw piał tenorem, gdy się go opuszczało do czeluści studziennej, a pobekiwał basem, gdy ciągniono wiadro do góry. Kupcy brodaci — dawniej wszyscy kupcy byli brodaczami — ich czeladź, straż, konie, woły pociągowe i juczne, cała karawana zatrzymywała się przy studni gasząc pragnienie i chwilę odpoczywając. Co roku tędy przejeżdżali i dobrze znali głos żórawia. Odpocząwszy coś niecoś, najstarszy kupiec wrzucał do studni miedziaka na ofiarę bogini tutejszych wód podziemnych i karawana ruszała dalej. Od Vinety jechali, od miejsca, gdzie morze najgłębiej wciska się w ląd. Jedni spieszyli do Venetii wprost na południe, inni skręcali na zachód, a jeszcze inni brali kierunek na wschód.

Przez stulecia i tysiąclecia mijały studnię z ożywczą wodą i śpiewającym żórawiem kawalkady kupców z brodami, Fenicjan, Rzymian, Gallów, Normanów, Franków, Wikingów, Arabów i wielu innych ras i nacji. Trakt był bezpieczny, bo wiódł przez krainy zamieszkałe prze ludność spokojną a wesołą, pracowitą a gościnną. Z czasem to i ona nauczyła się sztuki handlowania. Z czasem wyrosły na trakcie możne rody kupców i władyków, wyrosły organizacje polityczne. Ale nie tu miejsce kreślić ich dzieje. Przy onej studni pobudowano karczmę, nad brodem Czarnego Halsztrowa wyrosło miasteczko Wojerecy. Leży ono na miedzy Dolnych i Górnych Łużyc.

Cywilizacja drewna powoli ustępowała cywilizacji żelaza. Sprawowany żóraw ustąpił miejsca pompie z żeliwa. Już nie było słychać tęsknego śpiewu żórawia, nie było jak wrzucać miedziaków na dno. Nie była z tego zadowolona bogini wód podziemnych i za jej to zapewne sprawą w suche lata pompa pluła brudną, czarną wodę. Z biegiem czasu do studni przylgnęła nazwa Czarna Pompa. Ale pompa żeliwna już nie pociągała ku sobie tylu kupców, co dawna studnia z żórawiem. Było ich coraz mniej, tym bardziej, że i ludzie jacyś inni tam się osiedlać zaczęli.

Szły przemiany za przemianami, aż oto w roku 1955 ujawniła się nazwa i istota zagniewanej bogini. W języku pramieszkańców tych okolic imię jej brzmi Brunica, a w języku niemieckim Braunkohle, co oznacza węgiel brunatny. Węgiel jest w doskonałym gatunku i w takiej ilości, że starczy go na 100 lat dla największego w Niemieckiej Republice Demokratycznej kombinatu przemysłowego „Schwarze Pumpe", opartego na przeróbce węgla. Kombinat już się buduje i zacznie pracować w 1960 r. Obok, na miejscu dawnych obozowisk kupieckich, wyrośnie nowe miasto o 100.000 mieszkańców, Neue Hoyerswerda. Łużyczanie z niepokojem patrzą i biorą udział w tej budowie. Już tyle ponieśli strat z powodu wyrastających centrów przemysłowych. Obficie napływająca ludność z innych okolic majoryzowała tubylców powodowała ich szybką germanizację. Jak teraz będzie? Niemcy uspokajają ich: „Przecież Łużyce są teraz dwujęzyczne. Macie zabezpieczone ustawami swoje prawa narodowe, macie posłów w parlamencie „jesteście równouprawnionymi obywatelami Niemieckiej Republiki". Ale czy to Łużyczanom wystarczy?



Nowy Dom Serbski

ROK DWÓCH POETÓW

Obchodziliśmy rok mickiewiczowski, a Łużyczanie obchodzili właśnie rok Ciszyńskiego, 100-lecie urodzin ich największego poety, poety już na skalę europejską. Ciszyński za młodu wychowywany na Niemca ukończył studia teologiczne w Pradze, gdzie odnalazł swoją słowiańską narodowość. Zanim został księdzem, był już poetą. Za tę poezję, liberalne wypowiedzi i patriotyzm, trzymano Ciszyńskiego z dala od Łużyc, a nawet władze kościelne zamknęły go na 4 lata do klasztoru na pokutę. Po zwolnieniu z tego więzienia z jeszcze większym oddaniem służył sprawie narodowej. Jego jubileusz 25-lecia pracy poetyckiej i narodowej był olbrzymią manifestacją w Budyszynie w 1900 roku.

Sukcesy literackie Ciszyńskiego stały się klęską jego pracy duszpasterskiej. Spensjonowany w 47 roku życia, zmarł po kilku latach w 1909 roku w rodzinnym Kukowie, gdzie wdzięczni rodacy wystawili mu pomnik.

Łużyczanie pamiętają o wielkich poetach, nie tylko o swoich. Już na progu roku mickiewiczowskiego odbyła się w Budyszynie wielka akademia ku czci Mickiewicza. Na program złożyły się mowy, recytacje przekładów i koncert muzyki Chopina. Również dziennik łużycki „Nowa Doba" zamieścił obszerny artykuł z życiorysem i portretem poety. Niefortunnie życiorys przedrukowano z reżymowego pisma „Nowe Drogi", w którym ten życiorys tendencyjnie zniekształcono. Niedopatrzenie to wynagrodził nam numer grudniowy miesięcznika łużyckiego „Rozhlad", cały poświęcony Mickiewiczowi. Numer otwiera portret poety i pięknie skreślony życiorys, a zamyka artykuł o Michale Nawka, serdziwym uczonym i patriocie łużyckim, prezesie komitetu roku mickiewiczowskiego. Wnętrze numeru wypełnione jest przekładami poezji Mickiewicza i artykułem o jego wpływie na poetów łużyckich.

Łużyczanie uważają Mickiewicza prawie za swego poetę. Ciszyński w poezji był uczniem Mickiewicza. W sonecie „Do Serbów" wyraził jasno cel swojej poezji — „Chcę śpiewać pieśń, która by Serbom moim huraganem zwycięskim wyłamała wrota do wolności".

ZLOT 1956

Z czasów sokolskich zapewne pozostało u Łużyczan zamiłowanie do zlotów. Pierwszy po



Dziewczyna z Błot w stroju regionalnym

wojnie zlot, dla Górnych Łużyc, odbył się w Budyszynie w 1950 roku. Drugi zjazd, dla Dolnych Łużyc, miał miejsce w 1951 roku w Borkowym, w Błotach, czyli na Łużyckim Polesiu. Trzeci Wszechserbski Zlot odbył się 7 i 8 lipca ub. roku w Budyszynie.

W miarę zbliżania się terminu zlotu, zaczęto używać nazwy „zjazd", a nawet często prasa wyrażała się o „zjeździe Serbów i Niemców". Była też i opozycja przeciwko zjazdowi. Młodzież ćwiczącą tańce ludowe na łąkach czy placach wioskowych spotykały namowy w rodzaju: „nie rejujcie dla tej czerwienej Domowiny". Być może, że opozycja spowodowała mniejszą liczbę zjazdowiczów niż ta z 1950 roku, a którą oceniano na 150.000 osób. W każdym razie dziesiątki tysięcy Łużyczan ze wszystkich zakątków Łużyc ściągnęły do Budyszyna. Organizacja zjazdu była wzorowa a program był tak nabity — 50 punktów w ciągu dwu dni — że uczestnicy mieli trudności w wyborze, czego pierwej słuchać i czemu się pierwej przyglądać.

Największy entuzjazm wywołały masowe sceny i tańce ludowe 1.300 młodzieży dorosłej. Cztery grupy, każda w innym stroju regionalnym przy dźwiękach fanfar weszły na stadion. Pokazy otworzył chór tysiąca głosów pieśnią „Wielkiej rodziny słowiańskiej najmniejszym jesteśmy narodem". Orkiestra Serbskiego Ludowego Ansamblu i chór ilustrowały na zmianę ćwiczących i tańczących. Pokazy wbrew obawom wypadły nadspodziewanie dobrze i aplauzom publiczności nie było końca.

Nie na długo przedtem 1.000 dzieci szkolnych dawało podobne widowisko na innym boisku. A jeszcze ulicami miasta ciągnął korowód trzydziestu wozów ze scenami fragmentów historii Serbów i Łużyc. Do ważniejszych punktów programu należy zaliczyć jeszcze premierę Serbskiego Ludowego Ansamblu (chór, balet, orkiestra), premierę Serbskiego Teatru, ciekawy pokaz zwyczajów ludowych, różne wystawy, produkcje orkiestr i zespołów ludowych, zawody sportowe, filmy łużyckie pod gołym niebem, kabaret, tańce i na zakończenie sztuczne ognie. Zjazd w sumie był imprezą bardzo udaną, dał świadectwo żywotności Łużyczan i natchnął ich wiarą w lepszą przyszłość.

KONTAKTY

Na wszystkich polach mały liczbą naród Łużyczan dogania inne większe narody. Jednej rzeczy Łużyczanom nie udało się jeszcze dokonać — przebić muru obojętności świata zewnętrznego. Niestety, Polska do tego świata należy. Poprzednio wymieniony pisarz Wiktor Kochański, zamieszczał od czasu do czasu artykuły na tematy łużyckie w „Przeglądzie Zachodnim" do 1950 roku, notując objawy żywego ruchu pro-łużyckiego w latach 1937-1947. Potem w Polsce zapanowało milczenie w tych sprawach na całe pięć lat. Dopiero w 1955 r. Wilhelm Szewczyk w swoim reportażu o Łużycach, zamieszczonym w sierpniowym numerze „Życia Literackiego", przerwał to milczenie. Po wojnie Polonia też nie przejawia zainteresowania sprawami łużyckimi. Trzeba jednak zanotować, że w „New York Times" w numerze z dnia 22 marca ub. roku ukazał się artykuł Waltera Sulivan pt. „East Germans Aid Old Slavonic Group", a profesor uniwersytetu w Birmingham dr W. Lockwood, który był w Budyszynie ubiegłego roku, ogłosił 2. 11. 1956 w „West Coast Advertiser" dłuższy artykuł pt. „Czy mowa galicka musi zaniknąć?", i 20. 10. 1956 w tygodniku „The Welsh Nation" artykuł pt. „Serbska mniejszość we Wschodnich Niemczech". Może echa zlotu zeszłorocznego dotrą na Zachód, może zawiąże się krąg ludzi, którzy głosić będą światu, że Łużyce żyją!

K. Łukaszkiewicz

O POLSKĄ INTELIGENCJĘ

Napisał Polonus

Wśród wielu przemian, jakie przyniosło nam z sobą ostatnie półwiecze, zanotować możemy także i tę przemianę, że lepiej dziś, tu na emigracji, znamy Kraj. Tyle tysięcy rodaków z Polski odwiedziło dziś rodziny swe na emigracji, że każdy z nas rozmawiał dosłownie z dziesiątkami osób przybyłych z Kraju. Widzimy i poznajemy autentycznych rodaków z Polski — oraz słyszymy od nich całkiem mnóstwo informacji. Pozwala nam to widzieć dokładnie mnóstwo problematów krajowych, które przedtem ocenialiśmy tylko według domysłów i intuicji.

Chcę tu poruszyć jeden z nich: problemat polskiej inteligencji. Dla myślącego katolika był to jeden z czołowych problematów życia polskiego przed wojną. Jak się okazuje, pozostał on jednym z czołowych problematów i dzisiaj.

Powiedzmy sobie to otwarcie: inteligencja była jedną z najmniej katolickich, a może najmniej katolicką warstwą społeczną w Polsce. Poczynając od wieku XVIII warstwa inteligencji polskiej, zwłaszcza w miastach, została zdobyta przez prąd „filozofii" racjonalistycznej, została zorganizowana przez masonerię i inne prądy wrogie Kościołowi katolickiemu i została oderwana od tradycji katolickich, którymi nadal żyła masa ludowa i które — mimo wszystko — nadawały przeważające piętno polskiej kulturze. Inteligencja polska mogła wydawać z siebie wspaniałe wzloty wiary i świętości w pojedyńczych jednostkach, ale w swej masie była w najlepszym razie letnia i obojętna, w gorszym: w sposób utajony usposobiona wobec wiary katolickiej krytycznie i niechętnie.

Nie ma porównania między szerokim ogółem inteligencji polskiej, a np. inteligencją katolicką angielską. Przeciętny polski inteligent-katolik tak się ma do przeciętnego inteligentnego katolika angielskiego, jak się ma kapral-sanitariusz do lekarza, jeśli idzie o dziedzinę wiedzy religijnej, a tak jak się ma ochotnik ze Straży Obywatelskiej do regularnego żołnierza — jeśli idzie o dyscyplinę i poczucie obowiązku.

Wiedzieliśmy dotychczas, że nie zmieniło się to na emigracji. Polska inteligencja na emigracji słynie z obojętności religijnej — i z masowych rozwodów. I nawet w swych środowiskach formalnie wierzących i praktykujących jest nieraz skłonna do postawy nieortodoksyjnej, a już co najmniej jest religijnie powierzchowna i moralnie wątła. Rzeczą może nie częstą, ale zgoła nie wyjątkową jest, że „katolik" bywający na Mszy w Brompton Oratory, czy na procesji Bożego Ciała na Clapham, potrafi się rozwieść, lub wziąć „ślub" (cywilny) z rozwódką. Rzeczą bez wielkiej wątpliwości całkiem częstą jest, że taki odświętny katolik nie potrafi dać sensownej odpowiedzi na najprostszy antykatolicki zarzut protestanta, czy ateisty, albo nie zna obowiązujących przepisów o postach, już nie mówiąc o ścisłych zasadach etyki katolickiej, rządzących np. tak delikatną materią jak pożycie małżeńskie.

Otóż dowiadujemy się teraz, że tak samo rzeczy wyglądają i w Kraju. Istnieje potężny prąd wiary w masie ludowej. Istnieje wśród inteligencji wspaniała katolicka mniejszość. Ale w swojej masie, inteligencja jest najsłabszą, najmniej odporną z warstw społecznych w Kraju.

Że jest oportunistyczna, temu trudno się dziwić. Inteligencja posiada dziś jedną tylko podstawę egzystencji posadę. Aby mieć posady, inteligencja musi siedzieć cicho, musi unikać narażania się, nie może być tak otwarta w swoim krytycyzmie wobec reżymu jak chłop, czy nawet jak robotnik, wprawdzie też mający posadę, ale stykający się z władzą przełożoną w masie, a więc nie tak indywidualnie i sam na sam. Inteligencja jest, może nie jako warstwa, ale jako suma jednostek wziętych z osobna, najbardziej narażona — i dlatego trudno się dziwić, że jest najbardziej lękliwa.

Ale oportunizm w rzeczach praktycznych to jedno, a miękkość wewnętrzna i brak zasad — to rzecz druga. Dlaczego inteligencja się najliczniej rozwodzi? Dlaczego inteligencja jest najbardziej nieodporna na frazesy komunistycznej propagandy, najbardziej skłonna do „postępowego" mędrkowania?

Rozmawiałem w tych dniach z młodą panią, warszawianką, osobą, którą należałoby na ogół zaliczyć do intelektualnej elity.

— Jak wygląda światopogląd religijny kół wśród których się Pani obraca?

— No... Jakby to ująć... Uznajemy teizm, wierzymy, że jest Bóg. Ale dogmaty nam nie odpowiadają.

Proszę. To jest polska wykształcona przeciwniczka komunizmu. W istocie, nie ma ona ani o teologii, ani o filozofii katolickiej najmniejszego pojęcia. Gdyby jej wypadło dyskutować z wyszkolonym marksistą-leninistą, zostałaby w pięć minut położona na obie łopatki. Na wątpliwości, z jakimi przyjdą do niej kiedyś jej dzieci, urabiane przez komunistyczną szkołę, nie będzie umiała skutecznie odpowiedzieć. Nie da swoich dzieciom solidnego wychowania katolickiego, ale płytkie wychowanie agnostyczne i relatywistyczne, które ich do zmagania się z problematami dzisiejszych czasów nie uzbroi.

I niewiele dał jej pobyt na emigracji, by ją trochę o jej obowiązkach i o prblematach, które przed nią stają, uświadomić. Naczytała się emigracyjnej sieczki propagandowej — i nabrała do prasy emigracyjnej szczerej pogardy.

Otóż czas już najwyższy, byśmy podwyższyli poziom naszych wymagań co do tego, co uważamy za katolicką inteligencję. Na emigracji musi istnieć prąd katolicki, intelektualny i moralny dostatecznie mocny, dostatecznie głęboki, dostatecznie wymagający i stanowczy — by poczuło się jego istnienie też i w Kraju.

Polska inteligencja musi ulec całkowitemu przerobieniu i przeformowaniu. Musi zostać tak na nowo urobiona, jak — w odwrotnym kierunku — urobiona została przez wolnomularski „filozoficzny" prąd „oświecenia" w osiemnastym wieku. Albo jak usiłuje ją urabiać komunizm.

Katolicyzm to nie jest nieokreślona skłonność uczuciowa, ale to jest twardo zarysowany system pojęć i nakazów. Kto swej duszy, swego umysłu, swej woli, swego uczucia wedle tego systemu nie ukształtował, ten nie jest rzeczywistym katolikiem. I ten siedzi na dwóch stołkach.

Polonus

POLACY W SWIECIE

W RZYMIE

Urszulanki polskie Unii Rzymskiej pragną, aby do polskiej młodzieży żeńskiej, rozsianej po różnych zakątkach świata, dotarła wiadomość o istnieniu w Rzymie od roku 1954 Instytutu Papieskiego „Regina Mundi", który zajmuje się przygotowywaniem katechetek dla różnych narodów. Instytut został założony na życzenie Ojca Świętego i cieszy się jego uznaniem i poparciem. Studia w Rzymie, wspólna nauka i obcowanie z dziewczętami różnych krajów stanowią niewątpliwie atrakcyjną stronę tej nauki, lecz to, co jest w tym najważniejsze — to możliwość otrzymania gruntownego, na wysokim poziomie przygotowania do zadań katechetki, z uwzględnieniem specjalnych potrzeb swego kraju. W Instytucie studiuje już kilka Polek. O warunki przyjęcia, program nauk i inne szczegóły należy zwracać się bezpośrednio do Instytutu Papieskiego „Regina Mundi", — via Mecenate 37, Rzym, lub do Urszulanek Polskich Unii Rzymskiej, via Nomentana 236.

W STANACH ZJEDNOCZONYCH

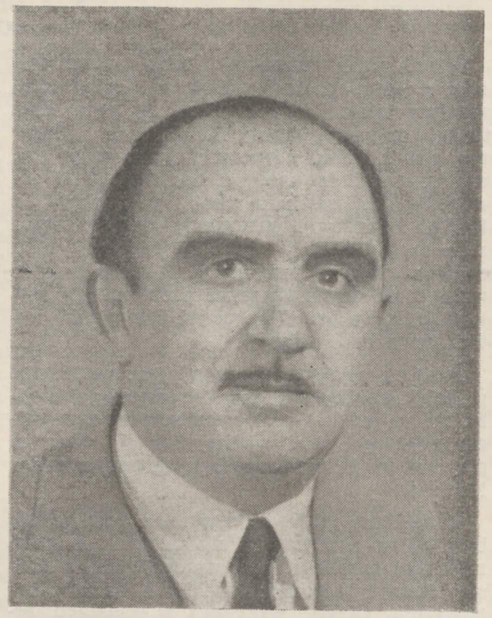
W Kolegium Związkowym w Cambridge Springs, Pa, odbyła się uroczystość nadania stopnia Doktora Honoris Causa ks. Wacławowi J. Filipowiczowi, obecnemu (siodmemu z kolei) rektorowi polskiego seminarium duchownego w Orchard Lake, Mich. Przewodniczył uroczystości dr Artur Coleman, który w przemówieniu powitalnym podkreślił, iż obie instytucje, a więc zarówno seminarium w Orchard Lake jak i Kolegium Związkowe w Cambridge Springs, mają głęboki szacunek dla wybitnych Polaków i jednakowo żywo interesują się sprawą polską w Ameryce.

*

Z Orchard Lake nadesłano nam wiadomość o święceniach kapłańskich dziewiątego „chłopca z Polski", ks. Kazimierza Skowrońskiego, najmłodszego wykładowcy najstarszej uczelni polonijnej. Należy on do grupy „chłopców z Polski", którzy dzięki inicjatywie i zabiegom ś. p. ks. prałata Edwarda J. Szumali i przy poparciu Komitetu Biskupów i Ligi Katolickiej mogli przybyć do Stanów Zjednoczonych z Indii, gdzie jako sieroce dzieci uchodźcze, po wydostaniu się z Rosji, przebywali w czasie wojny i w kilka lat po wojnie, w polskim osiedlu Valivade; nowy dom rodzinny, naukę i serca troskliwe znaleźli w Orchard Lake. Już dziewięciu z przybyłych chłopców otrzymało święcenia kapłańskie. Dwaj mają otrzymać święcenia w czerwcu bież. roku. Tak więc dzięki szczodrej pomocy Polonii katolickiej, przybywa nam 11 młodych ideowych kapłanów, co trzeba zaliczyć do niezwykle pomyślnych wydarzeń w życiu emigracji. Z grupy „chłopców z Polski" jeden jest już doktorem medycyny, dwóch inżynierami, jeden wykładowcą świeckim. Wszyscy okazują wiele przywiązania dla uczelni w Orchard Lake i odbywają tu coroczne zjazdy. W czasie ostatniego zjazdu, we wrześniu 1956 roku, „chłopcy" zadeklarowali wraz ze swymi przyjaciółmi sumę 3.440 dolarów na sanktuarium Maryjne w Orchard Lake, które ma być wotum wdzięczności całej katolickiej Polonii za szczególniejszą opiekę Najśw. Maryi Panny nad polskimi imigrantami, a także wotum błagalnym o wyjednanie u Boga za pośrednictwem Królowej Polski prawdziwej wolności i niepodległości dla narodu polskiego.

W HISZPANII

Studenci polscy w Hiszpanii obchodzili dziesiątą rocznicę przyjazdu do tego kraju pierwszej swojej grupy. Przyjazd ten nastąpił dzięki zaproszeniu miejscowej organizacji katolickiej działającej pod nazwą Obra Catholica de Asistencja Univesitaria. Zaproszenie, stypendia i troskliwa opieka hiszpańskiej organizacji umożliwiły studia w Madrycie ok. stu studentom polskim. Na cześć więc Obra Catholica i jej pełnego życzliwości dla polskiej młodzieży prezesa, prof. Jose Maria Otero Navascues, Polacy urządzili zebranie w salonach hotelu Castellana Hilton, które zgromadziło ponad 400 osób. Prócz zarządu OCAU i Polonii madryckiej przybyło wielu członków korpusu dyplomatycznego, reprezentanci ministerstw, Uniwersytetu i miejscowych instytucji. Gości witali: poseł R. P. w Madrycie min. Józef Potocki, który przyjął protektorat nad uroczystością oraz dr Antoni Deryng, kurator Związku Studentów. Na zebraniu obecny był poeta Józef Łobodowski.



Prof. Jose Maria Otero Navascues

Punktem kulminacyjnym uroczystości było nadanie członkostwa honorowego Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie — prezesowi OCAU, p. Jose Maria Otaro, co poprzedzone zostało krótkim przemówieniem prezesa Zrzeszenia mgr. Władysława Bobrka. Min. Potocki odczytał listy z wyrazami wdzięczności i uznania dla OCAU i jej prezesa, nadesłane przez arcybiskupa Gawlinę i gen. Andersa. W odpowiedzi prof. Otero wyraził nadzieję, że polscy stypendyści nie zawiodą pokładanych w nich nadziei i życzył Polakom rychłego i całkowitego wyzwolenia Polski.

Organizatorzy podejmowali gości lampką wina.

W BRAZYLII

W Sao Paulo zawiązał się komitet „Pro Polonia Livre", który wyznaczył sobie zadanie prostowania propagandowych tendencyjnych informacji o sytuacji w Kraju oraz przeciwstawiania się w miarę swoich możliwości jakiejkolwiek ingerencji i naciskom politycznym, wojskowym czy ekonomicznym na bieg spraw w Polsce. Komitet opublikował list otwarty do polskich ośrodków niepodległościowych wysuwając w nim projekt skoordynowanego działania dla obrony polskiej racji stanu.

W KANADZIE

Stowarzyszenie Polskich Imigrantów w Kanadzie z siedzibą w Montrealu nadesłało nam swój Biuletyn nr 5/83, z którego dowiadujemy się przede wszystkim o akcji pomocy dla ludności w Kraju, podjętej na wielką skalę przez całą zjednoczoną Polonię Kanadyjską. Udział Stowarzyszenia Polskich Imigrantów Wojennych w tej akcji jest bardzo poważny.

W MEKSYKU

Polonia meksykańska prosi nas o polskie druki, katalogi, książki. Działa w Meksyku na rzecz polskości i szerzenia chwały imienia polskiego p. Jerzy Skoryna, z ramienia SPK i Koła b. Żołnierzy Armi Krajowej. Niewielka jest Polonia w Meksyku, zaledwie 60 osób licząca, ale p. Skoryna i tak ma pełne ręce roboty, bo każdy Polak w Meksyku musi czytać gazety i książki polskie, żadnego p. Skoryna nie ominie, a kto skończy jedną ciekawą książkę, już p. Skoryna mu drugą zachwala. Chciał nawet otworzyć kiosk z polskimi wydawnictwami, lecz po dłuższej kalkulacji odłożył na razie ten projekt. Za to usiłuje dosięgnąć Polaków w sąsiednich krajach, a więc przede wszystkim w Guatemala, w Belize (British Honduras). Dowiadujemy się, iż jest już na dobrej w tym kierunku drodze. W prasie meksykańskiej ukazała się dzięki p. Skorynie reprodukcja okładki ŻYCIA nr 2/499 ze znaczkiem watykańskim, na którym jest wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Dostaliśmy wycinek jednego z tamtejszych pism z tą odbitką. Jest w przygotowaniu wielka uroczystość: wręczenie diecezji w Tacambaro obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, ufundowanego przez Polonię w Chicago. Przyjadą delegaci z Chicago, powita ich miejscowy biskup diecezjalny, zapowiada się przy tej okazji wielka manifestacja społeczeństwa meksykańskiego na rzecz Polski. zadzierzgną się nowe węzły.

W NIEMCZECH

Rada Naczelna Związku Polaków w Niemczech ogłosiła deklarację, w której m. in. wzywa dla dobra polskości do jednoczenia się społeczeństwa polskiego w Niemczech w naczelnej organizacji Polaków w Niemczech, jaką jest założony w 1922 roku Związek Polaków w Niemczech. Aby do jedności tej doprowadzić, Rada NZP w Niemczech domaga się natychmiastowego odsunięcia od wszelkiego wpływu na polskie życie społeczne w Niemczech tych ludzi, którzy skompromitowali się dotychczasową współpracą z aparatem terroru i ucisku w Polsce. Przemówienia w czasie zebrań Rady i Związku rozpoczynają się od tradycyjnego pozdrowienia: „Cześć ojczyźnie, cześć naszym braciom w Kraju". W tegorocznym kalendarzu prac związkowych m. luty przeznaczony był na propagandę czytelnictwa wśród Polaków w Niemczech, która dotyczyła w szczególności czytania prasy polskiej, a więc przede wszystkim wychodzącego w Quakenbruck „Polaka". W marcu miały się odbyć obchody „wiary ojców naszych". Związek troszczy się bardzo o wciągnięcie jak najszerszego grona młodzieży do swych prac, dąży w tym celu do zorganizowania w swoim lokalu w Bochum czytelni i biblioteki oraz centrali prasowej. Przed innymi celami stoi obecnie niesienie pomocy głodującym w Polsce.

NIEMCY

WYROK W KARLSRUHE

Jak wiadomo, Papież udzielił w dniu 26 marca audiencji prywatnej kanclerzowi Niemieckiej Republiki Federalnej (NRF) dr. Konradowi Adenauerowi, który w drodze do Teheranu zatrzymał się w Rzymie w celu podpisania układu o wspólnym rynku europejskim. Jakkolwiek audiencja u Papieża miała charakter prywatny, przedmiotem rozmów była niewątpliwie m. in. sprawa konkordatu. W tym samym bowiem dniu ogłoszony został wyrok Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe w sprawie wewnętrzno- niemieckich sporów na tle układu ze Stolicą Apostolską. Spór ten rozstrzygnięty został na korzyść rządów krajowych, przy czym Trybunał uznał de facto dalszą moc obowiązującą konkordatu, zawartego 24 lata temu, tj. w kilka miesięcy po dojściu do władzy Hitlera.

Wyrok Trybunału stworzył dość skomplikowaną sytuację prawną i polityczną, której konsekwencją będą przypuszczalnie rokowania na temat nowego konkordatu, dopasowanego do nowej sytuacji powojennych Niemiec. Sprawa konfliktu konkordatowego posiada następującą historię:

W trzy miesiące po swoim dojściu do władzy, dnia 24 marca 1933 roku Hitler wymusił na sterroryzowanym parlamencie niemieckim (Reichstag) uchwałę, przelewającą wszelkie uprawnienia parlamentu na rzecz rządu narodowo-socjalistycznego (tzw. Ermächtigungsgesetz). Na zasadzie tego uprawnienia podpisany został w dniu 20 lipca 1933 roku przez ówczesnego kardynała i sekretarza stanu Pacelli a obecnego Papieża Piusa XII oraz przez ówczesnego wicekanclerza Papena nowy konkordat, regulujący stosunek Kościoła do państwa nazistowskiego. Konkordat ten zapewniał — przynajmniej w teorii — m. in. naukę religii w kościołach i istnienie szkół wyznaniowych. Wykonanie postanowień konkordatu napotykało wprawdzie na wielkie trudności w ostatnich latach Trzeciej Rzeszy, nie był on prawie że zupełnie respektowany, formalnie jednak obowiązywał aż do bezwarunkowej kapitulacji Niemiec w roku 1945.

Powstała w roku 1948 Niemiecka Republika Federalna uznała się za następczynię prawną dawnej Rzeszy. Układy międzynarodowe dawnej Rzeszy obowiązują przeto — zdaniem rządu w Bonn — nadal, o ile nie zostały w międzyczasie zmienione lub na skutek wojny względnie zarządzeń alianckich, zniesione. Konstytucja nowej Republiki Niemieckiej nie przewiduje jednak dla obecnej Republiki Federalnej suwerenności kulturalnej. Sprawy Kościoła, szkolnictwa i wychowania należą do kompetencji poszczególnych krajów, tworzących Republikę, a nie do organów Federacji. Niektóre kraje stanęły na stanowisku, że postanowienia konkordatu zawartego z byłym centralnym rządem nemieckim nie są nadal obowiązujące i stosowały swoje własne ustawodawstwo szkolne, niezależne od przepisów i wytycznych, zawartych w konkordacie z roku 1933.

Ustawa sprzeczna z postanowieniami konkordatu. We wrześniu 1954 roku sejm krajowy kraju dolno-saskiego (posiadającego wówczas większość socjaldemokratów) uchwalił ustawę szkolną, która wprowadzała szkoły chrześcijańskie (a nie wyznaniowe), do których uczęszczać mają dzieci bez względu na przynależność wyznaniową. Na skutek tego rząd federalny w Bonn wniósł do Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe skargę, domagającą się ustalenia przez Trybunał 1) że dolno-saska ustawa szkolna jest sprzeczna z postanowieniami konkordatu i przez to rządowi centralnemu uniemożliwia wykonywanie zobowiązań, zaciągniętych przez układ międzynarodowy, oraz 2) że konkordat z roku 1933 obowiązuje nadal bez zmiany. Do skargi tej o interpretację mocy obowiązującej konkordatu przyłączyły się również rządy krajowe Hesji i Bremy, w których także rządzą socjaldemokraci.

Jak wyżej wspomniano, ogłoszony został wyrok Trybunału. Skarga o naruszenie przez dolno-saską ustawę szkolną obowiązującej umowy międzynarodowej (konkordatu) została oddalona. Ustawa szkolna nie narusza zasad konstytucji zachodnio-niemieckiej — dowodzi uzasadnienie wyroku. Konstytucja nie uprawnia rządu centralnego do żądania od krajów stosowania się do przepisów międzynarodowej umowy, gdyż kraje są w zakresie spraw kulturalnych całkowicie suwerenne. Na żądanie rządu w Bonn, by uznać konkordat jako umowę bezwzględnie obowiązującą, Trybunał odpowiedział tylko pośrednio. Uchylił się od odpowiedzi formalnej, ponieważ sprawa ta wypłynęła jedynie „incydentalnie" na tle prawnego sporu pomiędzy Federacją a krajami.

W uzasadnieniu dalszym Trybunał potwierdził jednak, że konkordat doszedł do skutku w sposób prawnie wiążący. Trybunał zakwestionował wprawdzie legitymację prawną rządu hitlerowskiego do podpisania konkordatu, gdyż rząd ten działał na mocy ustawy, wymuszonej w drodze terroru od parlamentu, dodał jednak, że ustawa ta stworzyła w praktyce nowy porządek prawny, którego pochodzenie jest wprawdzie rewolucyjne, ale który uznany i zaakceptowany został przez wszystkie inne państwa i który jest tym samym, z punktu widzenia prawa międzynarodowego, legitymowany. Innymi słowy: „Ermächtigungsgesetz" doszedł do skutku bezprawnie, był aktem rewolucyjnym, ale — wobec braku protestu w kraju i zagranicą — stał się jednak nową podstawą prawną dla rządu niemieckiego. Akty powstałe na zasadzie tego „prawa" są przeto z punktu widzenia międzynarodowego „prawne" i obowiązujące. Pośrednio więc Trybunał potwierdził moc obowiązującą konkordatu z roku 1933.

Wyrok w Karlsruhe stworzył nową sytuację w zakresie stosunków pomiędzy Niemiecką Republiką Federalną a Watykanem, która wymagać będzie nowych rozmów pomiędzy NRF a Rzymem. W rozmowach tych uczestniczyć muszą przedstawiciele krajów, względnie przedstawicielstwo z Bonn działać będzie mogło jedynie na zasadzie konsultacji poszczególnych krajów. Bliski termin wyborów do parlamentu nie pozwoli jednak prawdopodobnie na szybkie sfinalizowanie tych pertraktacji, tym bardziej że namiętności walki wyborczej przyczyniają się do wielkiego zaostrzenia stosunków pomiędzy rządową chrześcijańską demokracją a opozycyjną socjaldemokracją. Pertraktacje o nowy konkordat odroczą się ponadto i z powodu zmiany na stanowisku ambasadora niemieckiego przy Watykanie. Nowym ambasadorem zamianowany został po raz pierwszy katolik w osobie hr. Strachwitza ze Śląska, długoletniego urzędnika niemieckiego służby zagranicznej. Pertraktacje te nie będą zresztą łatwe, ponieważ wypłynie m. in. sprawa jurysdykcji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych, w odniesieniu do których Niemcy stoją bez zmiany na stanowisku, że stanowią one de jure część składową Niemiec.

St. Cz.

WŚROD REPATRIANTÓW NIEMIECKICH

Korespondent hamburskiej „Die Welt" opisuje swe wrażenia z zetknięcia się z transportem repatriantów niemieckich z Polski, przybyłych pociągiem na stację Büchen w Szlezwiku-Holsztynie, na granicy Niemiec zachodnich i zony sowieckiej. Jak stwierdza „Die Welt", od początku akcji repatriacyjnej w grudniu 1955 do Republiki Związkowej przyjechało (poza osobami przybyłymi tylko w odwiedziny) 31.756 Niemców, a oczekiwanych jest jeszcze ponoć przeszło 100.000.

Transport, o którym mowa, liczył 426 osób z „byłej regencji koszalińskiej, dzisiejszego województwa" na Pomorzu Zachodnim. Niektóre przytoczone urywki rozmów korespondenta z przyjezdnymi są interesujące.

„Musieliśmy wyjeżdżać właśnie teraz, kiedy się u nas poprawiło" — oświadczył korespondentowi 50-letni robotnik rolny z powiatu Słupsk, który przed wojną zasiadał za biurkiem. On i jego chora żona ponad 5 lat oczekiwali na pozwolenie na wyjazd. O ile skarżył się na poprzedni okres, o tyle, jak podkreślił, jesienią roku ubiegłego nastąpiła wielka zmiana w stosunku Polaków do pozostałych Niemców. „Warszawa opamiętała się wobec swej mniejszości niemieckiej. Wreszcie miały znów istnieć po wsiach niemieckie szkoły i organizacje kulturalne. Niemcy mieli być przyciągnięci do pracy w gminach."

„Gomułka — wtrącił sąsiad rozmówcy — próbuje ostatecznie skończyć ze szwindlowaniem przy wydawaniu pozwoleń na wyjazd na zachód." Różni geszefciarze wciąż wybijali kapitał z tęsknoty Niemców do połączenia się z rodzinami. „Łapówki w wysokości 20.000 złotych (siła kupna około 5.000 marek) nie były wcale rzadkością."

Wśród ludzi tych — stwierdza korespondent — nie ma z pewnością komunistów. „Podobnie nie można ich uważać za przyjaciół Polaków... ale wszyscy, z którymi rozmawiałem w Büchen, przyznawali szczerze, że w Polsce, od paru miesięcy zmieniło się wiele na lepsze, z czego korzystać będą także ci Niemcy, którzy pozostaną."

Z cytowanych urywków artykułu wynika jasno, że obecni repatrianci niemieccy wyjeżdżają całkiem dobrowolnie, bez żadnego nacisku czy przymusu ze strony polskiej, jak to próbowały rozgłaszać niektóre szowinistyczne czynniki niemieckie. Stwierdziło to już oświadczenie niemieckiego Czerwonego Krzyża, a obecnie potwierdza wspomniana korespodencja. W związku ze skargami Niemców na stosunki w Polsce w poprzednim okresie nasuwa się uwaga, że ofiarami tych stosunków byli w niemniejszym na pewno stopniu i rodowici Polacy.

Młodzi rozumiejący po polsku. Ciekawy szczegół korespondencji stanowi stwierdzenie, że o ile rozmowa ze starszymi spośród przybyłych szła stosunkowo łatwo, o tyle porozumiewanie się z młodymi natrafiało na trudności, niektórzy bowiem rozumieli tylko język polski. Piętnastoletnia jasnowłosa Ingrid potrafi powiedzieć tylko „Ich nichts verstehen" — są to jedyne znane jej słowa niemieckie. Korespondentowi powiedziano, że służyła ona u jednego z osadników polskich, nie widywała się z matką i nie chodziła do szkoły niemieckiej. Korespondent notuje dalej, że młodzieńcy 18-letni, należący do transportu, w rozmowie między sobą musieli sobie pomakać językiem polskim. Gdy uderzyła go dobra niemczyzna jednego z młodych, okazało się, że jest to wynik troskliwych starań matki, która sama była nauczycielką syna.

Korespondent twierdzi, że o ile dawniej władze w Polsce niechętnie udzielały pozwoleń na wyjazd młodym, o tyle obecnie nie

mają oni trudności; pozwolenie dostają nawet młodzieńcy, mający już wyszkolenie wojskowe. P. Beerowi opowiadano o wypadku natychmiastowego zwolnienia z wojska młodego Niemca z chwilą, gdy matka jego dostała pozwolenie na wyjazd.

Podkreśla też p. Beer', że znacznej poprawie uległy warunki transportu. Przesiedleńcy podróżują obecne w nowoczesnych wagonach Polskich Kolei Państwowych z miejscami do leżenia. Wolno im zabrać ze sobą cały dobytek, z wyjątkiem gotówki.

STANY ZJEDNOCZONE

ZMIANA OSOBY CZY KURSU?

Admirał Arthur Radford, szef połączonych sztabów generalnych Stanów Zjednoczonych po czterech latach współkierowania machiną wojenną Ameryki opuścił to stanowisko i przeszedł w stan spoczynku. Nie ma w tym nic osobliwego, gdyż cztery lata stanowią najwyższy prawnie dopuszczalny okres zajmowania tego stanowiska. Demokracja amerykańska zabezpiecza się w ten sposób i w tej dziedzinie przed zbyt długim piastowaniem władzy przez jednostkę. Oczywiście jednak nasuwa się od razu pytanie, czy odejście Radforda z zajmowanego przez niego stanowiska, oznacza również zmianę kierunku, który on reprezentował.

„New Look". Ogólnie powiedzieć można, że Radford zajmował tę samą linię w dziedzinie wojskowej, jaką Dulles zajmuje w dzisiejszych światowych zmaganiach się w dziedzinie polityki zagranicznej. Jest to opieranie obrony Zachodu na odstraszającym i „retaliacyjnym" działaniu broni atomowych, ostatnio przede wszystkim pocisków atomowych z głowicami atomowymi.

To połączenie dyplomacji ze strategią datuje się od czasu rozmów, odbytych na krążowniku „Helena". Wówczas to Eisenhower, już po swym wyborze na prezydenta, ale jeszcze przed objęciem tego urzędu, odwiedził front koreański. Na krążowniku gospodarzem w pewnej mierze był dowódca floty wojennej na Pacyfiku, admirał Radford. Jego koncepcje strategiczne ponoć zrobiły duże wrażenie na Eisenhowerze. W wyniku tego Eisenhower postanowił zrobić Radforda, który swą karierę wojskową zrobił w lotnictwie floty, szefem naczelnym sztabów generalnych wszystkich rodzajów broni. Od tego czasu zaznaczył się decydujący wpływ Radforda w kierunku budowy potęgi „nuklearnej".

Koncepcje Radforda były w dużym stopniu wynikiem doświadczeń amerykańskich w Azji. Radford był zwolennikiem ruchomej, elastycznej strategii, która nie pozwala na narzucanie terenu zmagań przez przeciwnika, co zaszło w Korei. Na przyszłość, jak sądził, należy trzymać Chiny komunistyczne w stanie trwałego zagrożenia z łańcucha „peryferyjnych punktów oparcia"; łańcuch ten nazwano „linią Radforda". Pomysły te stanowiły część ogólnej koncepcji, która stała się w końcu znana pod nazwą „New Look'u". Koncepcja ta to właśnie przestawienie się, strategiczne i taktyczne, na odstraszające działanie broni atomowych, połączone z redukcją stanu liczebnego wojska i położeniem nacisku na lotnictwo wojenne.

Strategia „peryferyjna". Koncepcje Radforda znamionuje skłonność do obrony peryferyjnej. — choć nie jest to koncepcja „Ameryki-fortecy", którym to mianem Hoover i Taft określali swój program neoizolacjonistyczny. Właśnie dla obrony peryferyjnej Radford kładzie taki nacisk na dalekosiężne pociski atomowe. Ponoć dwa razy co najmniej opowiedział się za interwencją Ameryki, nawet z ryzykiem lokalnego konfliktu. W obu wypadkach chodziło o teren Pacyfiku i było wypływem poglądu Radforda, że należy trzymać pod stałym naciskiem komunistyczne imperium Mao Tse Tunga i że w razie potrzeby nie należy nawet unikać bezpośrednich uderzeń militarnych. W obu tych wypadkach inicjatywa Radforda nie została wprowadzona w życie. Prezydent i wódz naczelny Eisenhower, choć przyjął samą koncepcję Radforda, nie zawsze zgadzał się z nim, gdy chodziło o poszczególne jej zastosowanie.

Pierwszym większym sukcesem koncepcji Radforda było danie pewnej swobody Czian Kaj Szekowi, którą mu przyznał nowy rząd Eisenhowera zaraz po objęciu przez siebie władzy w roku 1953. Przywódcy Chin narodowych, którego Truman w chwili wybuchu wojny koreańskiej „zneutralizował" przy pomocy 7 floty amerykańskiej, pozwolono obecnie na „ukłucia szpilką" kontynentu chińskiego poprzez cieśninę Formozy. Okazało się jednak w dwa lata potem, że istnieją granice wpływów Radforda. Powstała wtedy kwestia, czy należy objąć gwarancją amerykańską dla Formozy także wyspy przybrzeżne Quemoy i Matsu. Eisenhower zdecydował wówczas, że nie można ryzykować konfliktu zbrojnego z Chinami dla tych wysepek.

Utrzymanie linii zasadniczych. Ale jedna z głównych podstaw w koncepcji Radforda niewątpliwie przeżyje jego odejście. Chodziło mu o to, by Ameryka uzyskała większą niezależność strategiczną, by mianowicie nie była zależna od swych przeciwników komunistycznych w rozdzielaniu swych wojsk między różne punkty globu, lecz by ona sama właśnie, o ile możności, dokonywała wyboru terenu. Zgadzają się z tym nie tylko członkowie gabinetu, ale i sam Eisehower. Także w innych dziedzinach strategicznych, o których mówiliśmy, nie zanosi się na większe zmiany w dziedzictwie po Radfordzie.

WĘGRY

ARESZTOWANIE TIBORA DERY

Ministerstwo spraw wewnętrznych rządu Kadara ogłosiło przed kilku dniami komunikat, z którego dowiedzieliśmy się, że „w toku śledztwa przeprowadzonego po tymczasowym zawieszeniu działalności Związku Pisarzy Węgierskich ustalono, że grupa członków Związku wykorzystywała tę organizację jako środek w walce przeciwko ustrojowi państwowemu Węgierskiej Republiki Ludowej".

Komunikat oznajmia dalej,iż w związku z tym minister spraw wewnętrznych rozwiązał Związek Pisarzy Węgierskich. „Równocześnie policja aresztowała pisarza Tibora Dery, któremu zarzuca się działalność antypaństwową."

Tak więc pacyfikacja Węgier przeprowadzana jest konsekwentnie według planu, który przed paru miesiącami przywiózł był z Moskwy generał Sierow: po robotnikach i studentach przyszła kolej na pisarzy. Dramatyczne „Ils n'oserons pas! — Ils ont osé" sprawdziło się raz jeszcze na osobie Tibora Dery. Kadar, którego usunięcie ze stanowiska szefa rządu jest już niemal oficjalnie zapowiadane, i tym razem wykonał, co mu kazano.



ISTVAN DOBI, który, według wiadomości z Budapesztu, ma zostać następcą Kadara.

Nie tak dawno cytowaliśmy na tych łamach (ŻYCIE nr 1/498) drukowany w Kraju wiersz Adama Wyżyka „Qui tacent, clamant", dedykowany walczącym Węgrom. Dziś powtarzamy tylko jedną jego zwrotkę:

......
Twój głos, Tiborze Dery, w godzinie zamętu
pytał mnie przez telefon, czy jestem bezpieczny;
I głos ten usłyszałem w gmachu parlamentu
Załamany w eterze jak krzyk ostateczny.
......

Jakże kruche było bezpieczeństwo samego Tibora Dery w godzinie, która nastąpiła po zamęcie. A ile warta jest owa „wolność z zawieszeniem" Adama Wyżyka i innych polskich pisarzy, którzy ośmielili się podnieść głos przeciwko rządom tajnej policji?

SAN MARINO

CZY NARÓD MORSKI?

Brzmi to osobliwie, a jednak jest faktem. Malutka republika San Marino, nie posiadająca terytorialnego dostępu do morza, staje się jednak narodem morskim. Taką uchwałę powzięła niedawno Wielka Rada republiki. Fakt, że San Marino nie ma ani skrawka własnego wybrzeża nie posiada znaczenie decydującego, gdyż podobnie i Szwajcaria nie przytyka do morza, a jednak pod flagą szwajcarską pływa spora liczba doskonałych statków. Jeśli uchwała Wielkiej Rady zrobiła pewną sensację, niekoniecznie przyjemną wśród wielkich narodów morskich, to dlatego, że jej wykonanie spowodować może dalsze rozszerzenie się zasięgu tego, co określane jest mianem „taniej flagi".

„Normalna" i „tania flaga". Każdy, kto choć trochę zna się na sprawach żeglugi, wie co oznaczają te terminy. Pływać pod „tanią flagą" oznacza po prostu nie płacić z tego tytułu żadnych podatków. Do „flags of convenience", jak nazywają to Brytyjczycy, należą dotąd Liberia, Panama, Honduras, Costarica i, od niedawna dopiero, Bermudy. Do krajów tych można też do pewnego stopnia zaliczyć Sycylię.

Liczba statków żeglujących pod flagami tych krajów, jest coraz większa, choć wielu członków ich załogi nie widziało nigdy w życiu swych tak zwanych „portów macierzystych". Statystyka towarzystwa ubezpieczeń Lloyda wykazuje, że w roku 1948 tylko dwa statki miały flagę Liberii. W osiem lat potem, pod datą 1 stycznia 1957 do rejestru Lloyda zapisane już zostały 582 statki o łącznej pojemności 5,58 milionów ton z Monrovią, stolicą Liberii, jako swym portem macierzystym.

Podobny wzrost notują inne z wymienionych krajów. Przyczyna jest bardzo prosta. Statki, przypisane do Monrovii, Panamy itd., muszą uiścić w odnośnych portach tylko opłatę za wpisanie ich do lokalnego rejestru żeglugowego, natomiast ich właściciele nie płacą żadnych podatków. Ten stan rzeczy stanowi premię dla armatorów statków, używających „taniej flagi", natomiast bardzo obciąża zdolność konkurencyjną firm żeglugowych, płacących normalne podatki.

Coraz więcej jest armatorów-spekulantów, korzystających z „flags of convenience". Nie trzeba oczywiście dodawać, że udział małych kraików, które użyczają w ten sposób swojej flagi, jest wyłącznie „rejestracyjny" i że poza tym nie mają one nic wspólnego z tymi statkami. Trudno się jednak dziwić, że duże narody morskie krzywo na to patrzą.

JORDANIA

DOKTRYNA DZIAŁA

Infiltracja komunistyczna i dywersja sowiecka doprowadziły Jordanię na skraj przepaści. Bunty i spiski przeciwko królowi Husseinowi nie miały bynajmniej charakteru walki o wolność kraju. Jordania była krajem wolnym. Hussein, który usunął Glubbpaszę i stanął po stronie Egiptu w konflikcie z Francją i Wielką Brytanią, nie mógł być przez kogokolwiek oskarżony, że jest marionetką w ręku Zachodu. Ktokolwiek chciałby porównywać rozruchy w Jordanii z rewolucją narodowa Negiba i Nassera w Egipcie czy z wyzwoleniem Maroka spod panowania francuskiego, myli się całkowicie. Garść komunistów, garść chwiejnej i sprzedajnej pseudolewicowej inteligencji w Jordanii czy w Syrii, to właśnie marionetki obcej potęgi — Sowietów, które prowadzą na terenie Środkowego Wschodu agresję polityczną.

W swoim liście do premiera Nabulsi, przed jego usunięciem, król Hussein pisał: „...Widzimy obecnie komunistyczną infiltrację do naszej arabskiej ojczyzny. Widzimy groźbę ze strony tych, którzy udają lojalność dla patriotyzmu arabskiego, a wprowadzają zamęt, oszustwa i niesnaski, próbując ukryć swoje niecne zamiary przeciwko patriotyzmowi arabskiemu, współpracują z wrogiem, oszukują naród i eksploatują masy..."

Dlatego też proklamacja ze strony Stanów Zjednoczonych, że przywiązują zasadnicze znaczenie do utrzymania „niepodległości i całości" Jordanii, jest posunięciem rzetelnym, zgodnym z interesem ludności kraju i przyczyniającym się do utrzymania pokoju na Środkowym Wschodzie. Proklamacja, poparta wysłaniem 6-tej floty amerykańskiej w pobliże zapalnego punktu, jest sprawdzianem skuteczności „doktryny Eisenhowera". Na tym przykładzie wystąpiła wyraźnie różnica zasadnicza między polityką sowiecką i amerykańską: pierwsza prowadzi do awantury, rozlewu krwi i wojny, druga chce zapewnić spokój i ład, broniąc interesów ludzkości.

Jeżeli król Hussein rzeczywiście dba o dobro swych poddanych, a nie tylko o swój interes dynastyczny, to — śladem swoich sąsiadów — przyjmie ambasadora Richardsa dla przedyskutowania sprawy pomocy gospodarczej dla Jordanii. Tej pomocy potrzebuje uboga ludność, której nędza jest pożywką dla agitacji komunistycznej. Potrzebują jej także nieszczęśni uchodźcy.

Ameryka nie może ograniczać swej roli do demonstracji politycznej i militarnej. Jej bogactwa nakładają obowiązek przyjścia z szybką pomocą gospodarczą wszystkim tym krajom, dla których stanie się ona pomocą w utrwaleniu społecznego ładu i pokoju.

SOWIETY

OBRONA STANU POSIADANIA

Dalsze pogróżki sowieckie, balony z napisem: „Pokój!", puszczane na majowej paradzie wojskowej w Moskwie, zbrojenie satelitów pod hasłem „walki z militaryzmem", propozycje rozbrojeniowe przy akompaniamencie wybuchów atomowych — znaczyć mogą, że Sowiety się... boją. Boją się kłopotów wewnętrznych w bloku sowieckim, widzą pogotowie obronne Zachodu.

Próba nawiązania flirtu z Wielką Brytanią, równoczesne usiłowania, by groźbą zamienienia Niemiec na „cmentarzysko" w wojnie atomowej przeciwdziałać udziałowi ich w umacnianiu Paktu Północno-Atlantyckiego, wreszcie objawy zdenerwowania, gdy Zachód wspomina sprawę narodów Europy środkowowschodniej — wszystko to wskazuje na dążenie Związku Sowieckiego do utrzymania „status quo" w zdobyczach terytorialnych.

Dlatego też słuszną odpowiedzią, w języku dyplomatycznym, na ponowne propozycje sowieckie „spotkania na najwyższym szczeblu" i ponownego dyskutowania zjednoczenia Niemiec, — byłoby wysunięcie propozycji, zgodnie z wnioskami szefa opozycji brytyjskiej p. Gaitskella, by dyskutować nie samo zjednoczenie Niemiec, ale wyzwolenie i neutralizację Niemiec i krajów Europy środkowo-wschodniej. Odmowa sowiecka przyjęcia tych propozycji, których wymowa polega na tym, że przyjęcie ich rozgranicza oba obozy rywalizujące ze sobą, byłaby wyraźnym dowodem, jakie są prawdziwe intencje Związku Sowieckiego, wbrew wiosennym zalotom o „pokojową współpracę" i „koegzystencję"...

EGIPT

KANAŁ SIĘ OTWIERA

Egipt złożył oficjalnie w ONZ, jako „instrument o znaczeniu międzynarodowym", swój plan zarządzania Kanałem Sueskim. Fakt oparcia planu na postanowieniach i intencjach Konwencji Konstanynopolitańskiej z roku 1888, przedstawienie go jako zobowiązań wiążących Egipt i zarejestrowanie planu w Organizacji Narodów Zjednoczonych — to dowody, że płk Nasser zmierza do uregulowania sporu.

Kanał zostanie pod zarządem egipskim. Ale plan egipski przewiduje podporządkowanie się w razie sporu, rozstrzygnięciom Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości; zobowiązuje Egipt do utrzymania Kanału w należytym porządku i do przeprowadzenia robót ulepszających; ogranicza podwyżkę opłat; uznaje prawo dawnej Kompanii do odszkodowań; zaprasza użytkowników do współpracy technicznej.

Przyszłość zależy od wykonania zobowiązań. Statki wielu narodów, wśród nich amerykańskie i angielskie, już przez kanał płyną. Jeśli zarząd kanału będzie funkcjonował sprawnie, ustaną protesty, zresztą coraz słabsze. A siły zewnętrzne, wrogie — stracą wreszcie okazję do siania zamętu, który pogarsza i tak ciężką dolę ludności Egiptu i krajów sąsiednich.

RAPTULARZ WYDARZEŃ

19 kwietnia —

✱ CHRUSZCZOW powiedział w Moskwie, że Odra i Nysa jest także granicą sowiecką. Powiedział Cyrankiewiczowi, że Zachód zabiega o względy Polski, by wykorzystać ją jako narzędzie przeciwko Sowietom.

✱ ŻUKOW oświadczył, że Związek Sowiecki zaopatrzy sojuszników w bronie atomowe i pociski kierowane.

✱ IRAN zapewnił Sowiety, że w Persji nie będzie baz pocisków kierowanych.

20 kwietnia —

✱ BUŁGANIN skierował pojednawczy list do Macmillana w sprawie uregulowania stosunków na Środkowym Wschodzie.

✱ CYRANKIEWICZ powrócił do Warszawy; jego wizyta w Chinach oceniana jest jako sukces polityczny.

✱ W JORDANII nowomianowany szef sztabu zbiegł do Syrii, sprzeciwiając się polityce króla Husseina.

21 kwietnia —

✱ AMERYKA zgodziła się na rewizję embargo w handlu z Chinami.

✱ W CZECHACH I NA MORAWACH znajduje się, według wiadomości z Wiednia, 5 do 8 sowieckich baz pocisków kierowanych.

✱ NOTA ZWIĄZKU SOWIECKIEGO do państw zachodnich powtarza propozycje nie używania sił na Środkowym Wschodzie.

22 kwietnia —

✱ DULLES wygłosił wielką mowę polityczną. Podtrzymał tezę „pokojowego wyzwolenia" narodów ujarzmionych przez Sowiety, zaprzeczając oskarżeniom o podniecaniu oporu, oraz o osaczaniu Sowietów.

✱ MOŁOTOW przestrzegł państwa satelickie przed uprawianiem polityki niezależnej

✱ SOWIECKI AMBASADOR w Bonn powtórzył wezwanie o odrodzenie „ducha Rapallo".

✱ KONGRES brytyjskiej partii komunistycznej zakończył się w Londynie; padły zarzuty, że kierownictwo oszukuje robotników: w 1956 roku partia straciła 1/4 członków.

23 kwietnia —

✱ MIKOJAN przybył do Austrii z oficjalną wizytą.

✱ PROPAGANDA egipska i syryjska atakuje króla Jordanii za „konspirowanie z zachodnimi państwami".

✱ CHINY zapowiedziały złagodzenie procesu komunizacji w Tybecie.

K S I Ą Ż K I

„DUCH NIESPOKOJNY"

Obwolutę ostatniej książki „Gryfu" zdobi, prócz tytułu i znaku wydawców, rysunek ratusza poznańskiego, fragment Posągu Wolności w Nowym Jorku oraz nazwisko autora: Alexander Janta (przez x). Nota o autorze zaczyna się od słów: „Aleksander Janta określony został przez jednego z kolegów po piórze i podróżach jako Rej polskiego reportażu". Z dalszego ciągu noty dowiadujemy się, że „autor wszedł jednym ze swoich psalmów do antologii poezji światowej", a oprócz wierszy, opowiadań, studiów i essayów, napisał niewydaną dotąd powieść i zbiór „niecodziennych wspomnień wojennych". Poza tym „Janta łączył stale rozmach i rozmaitość pisarską z pasją pioniera i powołaniem przywódcy niejednych twórczych inicjatyw i ruchów artystycznych". „Urodzony w Polsce, wykształcony w Europie, Amerykanin z wyboru i warunków, obywatel świata z przekonania" — taką formułą przedstawiany bywał licznym słuchaczom w czasie tur odczytowych.

O „Duchu niespokojnym"*) — bo taki jest tytuł ostatniej książki Janty — posiadającej wydanie amerykańskie i europejskie oraz specjalne na papierze żeberkowym, dowiadujemy się z obwoluty, że jest to „próba spojrzenia oczami ówczesności na młodość i niedojrzałość własnych początków", że „książka ta odsłania także obraz świata", jest to również „swego rodzaju pamiętnik uczenia się prawdy człowieka o samym sobie", poza tym też „dzieje dojrzewania człowieka, który potrafił uczynić sobie z ziemi ojczystej odskocznię w szeroki świat". „Duch niespokojny" to jeszcze także „książka o Poznaniu, mieście młodości autora", „dokument budzenia się i rozwijania Polaka, poety i podróżnika, który stał się pionierem wielkiego reportażu w polskiej prasie", „żywy dokument wierności i przywiązania do Polski, ale zarazem dowód czujnego sumienia obywatelskiego, które wyraziło się buntami młodości, niepokojami rozumu i serca". Książka pojawia się w doniosłą rocznicę „25-lecia pierwszego przyjazdu autora tej pasjonującej książki do Stanów Zjednoczonych".

Dzieło zaczyna się od rozdziału pod tytułem „Geniusz gatunku", poświęconego rodowodowi autora, a kończy się notą w języku angielskim pt. „Proposed autobiography". Z tejże noty dowiadujemy się, że dzień zwycięstwa, V-Day, zastał Aleksandra Jantę w Nowym Jorku. „Wojna była wygrana, ale nie dla niego, chociaż był on jednym z pierwszych, którzy stali się autorami zwycięstwa".

Książka tak sławnej osobistości musi budzić zrozumiałe zainteresowanie. Zaostrza je pierwszy rozdział pt. „Geniusz gatunku", w którym jest mowa o „tradycji znakomitych i utalentowanych przodków" Janty. W Heidelbergu, w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia profesor Tomasz Gaspey, którego „sława była rozległa i powszechna nie tylko w Niemczech", wezwał do słabującej na gardło córki, „uderzającej urody i nieodpartego wdzięku", słynnego lekarza, dra Jurasza, na którego „zwrócił uwagę świat medyczny". W czasie badania lekarskiego „musiał był koło nich krążyć w owym momencie geniusz gatunku". „I on to — pisze Aleksander Janta — zakrzątnął się wcale skutecznie około przeprowadzenia odwiecznych zamysłów twórczych, niby duszek sprytny i uparty, spełniający tajemniczą rolę pośrednika między dwiema istotami, wyzwalających z nich siłę, która doprowadzi do poczęć, tworzących nowe życie. Ile razy przesuwam w myśli tę dawno minioną scenę o kolorze wyblakłych fotografii minionego stulecia, doznaję czegoś w rodzaju wstrząsu świadomości razem z uczuciem, że się tam także tworzył zawiązek mojego własnego życia, zapowiedzią istniejąc już w czasach owej przeszłości..." Tak więc „geniusz gatunku" połączył poznańskiego lekarza z piękną Angielką, aby w drugim pokoleniu mógł przyjść na świat Aleksander Janta, co, istotnie, wywołuje „coś w rodzaju wtrząsu świadomości".

Janta bowiem to naprawdę dobry dziennikarz. Żywy, obrotny, zapobiegliwy, ciekawy świata, gładki w stosunku do ludzi, wścibski, nie dający się łatwo zbić z pantałyku, wszechstronny, umiejący korzystać z informacji, o ostrym spojrzeniu. Jego zasługi w dziedzinie reportażu dziennikarskiego są bezsporne. Przydomek „Reja polskiego reportażu" należałby mu się sprawiedliwie, gdyby geniusz gatunku nie zakrzątnął się nieco wcześniej około urodzin Melchiora Wańkowicza. Artykuły i reportaże Janty czyta się zawsze z zainteresowaniem. Są one również rzadkim przykładem dziennikarskiej uczciwości i dokładności informacji. Jancie-reportażyście można wierzyć.

Oczywiście, w dziennikarstwie ogromne znaczenie posiada tematyka. Janta zawdzięcza powodzenie i rozgłos przede wszystkim oryginalności, „niecodzienności" swoich reportaży. Już jako człowiek bardzo młody, dwudziestokilkuletni zwiedził i opisał Paryż, Anglię, Stany Zjednoczone, Rosję sowiecką. Potem bywał w najbardziej egzotycznych krajach w Abisynii, w Indiach, na Dalekim Wschodzie, w Mandżurii, w Chinach, Japonii, i to, jak na dobrego dziennikarza przystało, zawsze w czasie ważnych wydarzeń. Do lat trzydziestych naszego wieku każdy wyjazd z Polski za granicę uchodził za wyczyn niebywały, a nasza wiedza o świecie współczesnym była okrutnie zaściankowa. Janta był jednym z pionierów wielkich podróży, i co trzeba szczególnie mocno podkreślić, z własnej inicjatywy i na własną rękę. Jego artykuły i książki były zatem nadzwyczaj popularne. Ale na tym właśnie polega dobre dziennikarstwo: na zdolności zdobywania tematu i umiejętności dotarcia do źródeł ciekawych informacji.

Zwykle jednakże miesza się dziennikarstwo z literaturą piękną, a także często z rolą polityczną reporterów. W Polsce reporterzy zagraniczni cieszyli się glorią wróżbitów, a ślady tego kultu zachowały się aż do ostatniej wojny, kiedy polscy „korespondenci wojenni" robili niezwykłe kariery nieprawdopodobnie lichymi płodami swojej ignorancji. Nie trzeba dodawać, że „syntezy", „spojrzenia" i „przewidywania" czerpali reportarzyści pełnymi garściami z prasy i książek obcych. Ale, wbrew przysłowiu, we własnym kraju uchodzili za proroków.

Janta, jak się rzekło, należy do reporterów uczciwych i dziennikarsko utalentowanych. Jak z jego autobiografii wszakże wynika, można by go nazwać każdą inną godnością, prócz polityka. Co równie oczywiste, to niewielki talent literacki Janty. Rozsiane gęsto w książce próbki jego poezji, dramatów i pomysłów powieściowych świadczą niezbicie, że droga poszukiwań życiowych Aleksandra Janty jest jeszcze nie skończona, że ciągle nie wie on, jakie jest jego właściwe miejsce i znaczenie w świecie. Obywatelstwo świata z przekonania, a amerykanizm z warunków i wyboru, to bardzo piękne rzeczy, ale nie sposób opędzić się podejrzeniu, że Jantę czytają i cenią tylko Polacy, a z całej jego bujnej twórczości czytają i cenią bodaj tylko reportaże. Wiersze, dramaty, a zapewne i dotąd niewydana powieść Janty nie mają zbyt dużych widoków na trwałe miejsce w skarbcu literatury ojczystej.

A jednak Janta uważa się przede wszystkim za pisarza, a trochę i za męża stanu, w ogóle zaś za postać niezwykłą w dziejach powersalskiej Europy. „Duch niespokojny" nie potwierdza w pełni tych sądów Janty o sobie. Książka byłaby wcale czytelnym, a nawet miejscami przyjemnym pamiętnikiem, gdyby nie syntezy ideowo-polityczne i minoderia pseudo-artystyczna. Gdyby Janta poprzestał na opisach takich, jak seans spirytystyczny, „misja beludżystańska", półpięterko w „Ziemiańskiej", a nawet kolacje z generałem Sikorskim i Paderewskim, zasłużyłby bez wątpienia na osobną dyskusję „okrągłego stołu" w radiostacji Wolnej Europy. Lecz głębinowe syntezy epok i ustrojów, nostalgie pokolenia i próby artystyczne nie usprawiedliwiają wydania tej książki ani na papierze żeberkowym, ani nawet na papierze gazetowym.

Technicznie książka jest wykonana bardzo ładnie.

J. B.

*) **Aleksander Janta DUCH NIESPOKOJNY.** Gryf, Londyn 1957. Stron 284. Obwoluta według projektu Wł. Szomańskiego.

Zakończenie Polskiego Roku Maryjnego w Polsce

Jak wynika z ogłoszenia podanego w „Tygodniku Powszechnym" z dnia 28. IV. br. — w święto Królowej Polski 3 maja b.r. na zakończenie Polskiego Roku Maryjnego Ks. Kardynał Prymas S. Wyszyński w otoczeniu biskupów odprawił na Jasnej Górze pod Szczytem pontyfikalną sumę w intencji narodu polskiego.

Po sumie na Sali Rycerskiej została poświęcona tablica pamiątkowa 800-lecia Kazimierzowych ślubów narodu.

Wieczorem po procesji na wałach i Mszy św. ks. Prymas wygłosił kazanie do zebranych.

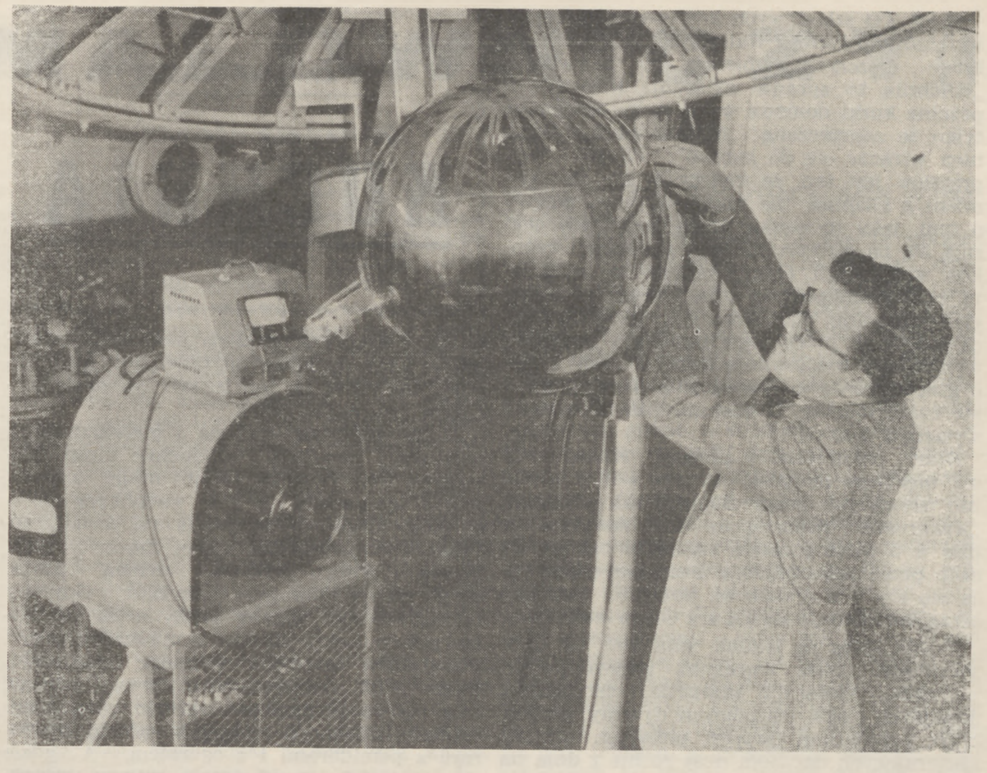
W niedzielę 5 maja wierni odnowili Jasnogórskie Śluby Narodu w swoich parafiach. Na Jasnej Górze nie było w tym dniu żadnych uroczystości. Natomiast wszystkie msze św. przed Cudownym Obrazem odprawili oo. paulini w intencji polskich diecezyj i parafij, aby przyrzeczenia jasnogórskie zostały spełnione i aby weszły w życie całego narodu.

Zakończenie Roku Królowej Polski jest zarazem otwarciem 9-cioletniej nowenny przygotowującej nas do 1000-lecia Chrztu Polski w r. 1966.

6 maja Ks. Kardynał Prymas opuścił Warszawę, udając się do Rzymu, gdzie przybył w towarzystwie księży biskupów Baraniaka, Klepacza i Majewskiego oraz swego sekretarza ks. Padacza.

NAUKA I TECHNIKA

SZMINKA PRZED WYJŚCIEM NA SCENĘ



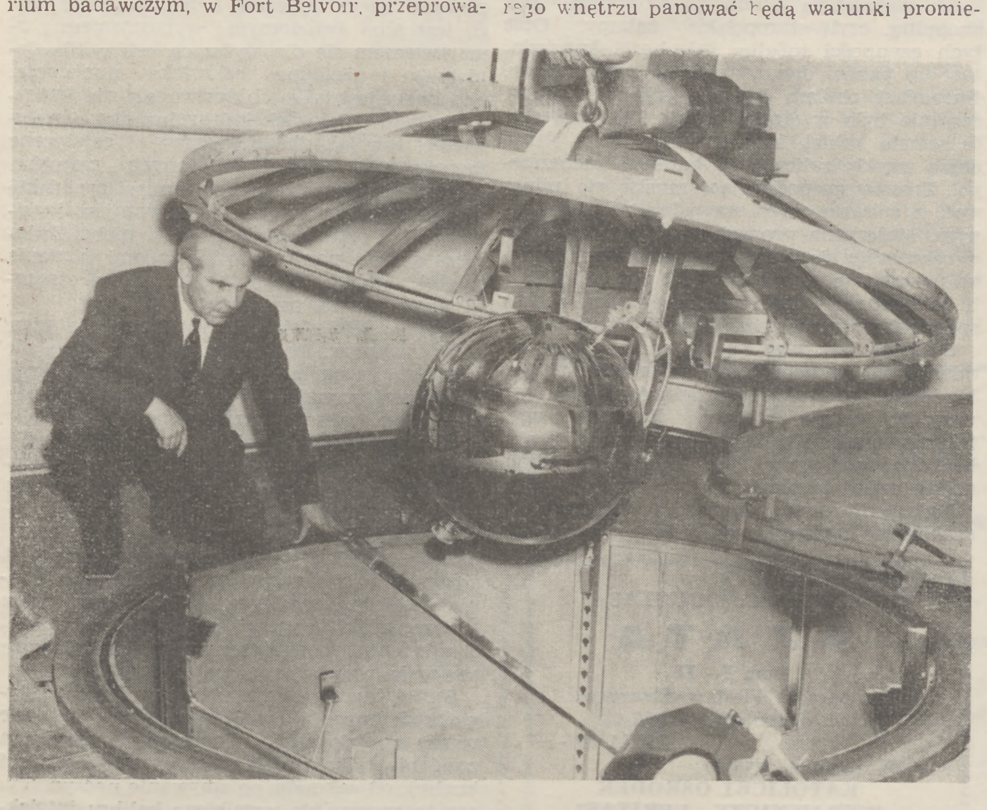
A. P. Bradford czyni ostatnie przygotowanie przed procesem pokrywania sztucznego księżyca ochronną powłoką

Jak aktor, zanim okaże się publiczności, tak i sztuczny księżyc, zanim zacznie swą podróż podniebną, musi otrzymać szminkę, która uczyni go bardziej widocznym nie tylko dla specjalnych teleskopów, jakie śledzić będą jego bieg, ale i dla nieuzbrojonego oka tysięcy amatorów. A — jak uczy doświadczenie — pomoc amatorów może być nieoceniona, gdyż potrafią oni nieraz dojrzeć wiele szczegółów, które mogą ujść oczu obserwatorów zawodowych, zbyt zaabsorbowanych nieraz poszukiwaniem danych przedstawiających dla nich specjalną wagę.

Ta „szminka" sztucznego księżyca to powłoka glinowa (aluminiowa) pokryta cieniutką warstwą związku krzemu. Jak wykazały długie doświadczenia laboratoryjne, tego rodzaju powłoka zapewnia najlepsze z dziś osiągalnych odbijanie światła widocznego, ale nie podczerwieni. Tym samym kula sztucznego księżyca promieniować będzie więcej ciepła, niż kula doskonale odbijająca podczerwień, a więc temperatura jej nie będzie tak wysoka.

Ponieważ sama kula sztucznego satelity wykonana jest ze stopu bardzo lekkiego metalu, magnezu, do którego powłoka glinowa niezbyt łatwo przylega, więc pomiędzy magnezem a powłoką glinową znajduje się cieniutka warstwa złota, jako „kleju".

Od działania tej złożonej powłoki sztucznego księżyca zależy powodzenie całego przedsięwzięcia. A że czas wyjścia na scenę się przybliża (podobno będzie to już lipiec tego roku), więc w amerykańskim laboratorium badawczym, w Fort Belvoir, przeprowadza się ostateczne próby tej powłoki na modelu satelity, jak to widać na rysunku. Próby te mają na celu z jednej strony ustalić najpewniejsze metody powlekania, z drugiej zaś zbadać, jak ta powłoka zachowywać się będzie w warunkach prawie doskonałej próżni, jaka panuje na wysokościach lotu sztucznego księżyca. W tym celu powleczony model umieści się w zbiorniku próżniowym, w którego wnętrzu panować będą warunki promieniowania odpowiadające tym, jakie spotykamy na wysokościach ponad 200 mil.



Dr George Hass, fizyk niemieckiego pochodzenia, przeprowadza ostatnią inspekcję zbiornika próżniowego, w którym powłoka sztucznego księżyca będzie poddana próbom

Poza wyżej wspomnianymi przygotowaniami samego satelity, przeprowadzono również i próby nad jego wyrzuceniem. W dniu 8 grudnia ubiegłego roku wystrzelono rakietę, która ma być rakietą pierwszego stopnia dla wyrzucenia sztucznego satelity, jak o tym pisaliśmy w nrze 485 ŻYCIA. Próby były całkowicie pomyślne, rakieta osiągnęła przewidywaną szybkość 4.000 mil na godzinę, i — po dojściu na wysokość 125 mil — wróciła spokojnie i bez wypadku na ziemię, a raczej, na morze.

Równocześnie zbudowano tranzitory (zastępujące w aparaturze radiowej satelity lampy radiowe) odporne na temperatury ponad 800 stopni C., a więc zapewniające możność wysyłania sygnałów radiowych do chwili, kiedy sztuczny księżyc wejdzie w zbyt już gęstą warstwę atmosfery.

Wreszcie, aby lepiej jeszcze zbadać nieznaną dotąd gęstość powietrza na tak dużych wysokościach, zdecydowano, że równocześnie ze sztucznym księżycem, z jego złożoną aparaturą, wystrzeli się kulę z plastyku grubości 0.0025 cala (0.0625 mm) z cieniutką powłoką glinową (aluminiową) 0.0006 cala (0.015 mm) wagi 300 gramów (10 i pół uncji). Wewnątrz tej kuli umieści się kapsułkę zestalonego azotu, który — przemieniwszy się z powrotem w gaz — nada powłoce z plastyku kształt kuli tej samej wielkości, co sztuczny księżyc.

Początkowo obie kule będą biegły obok siebie. Z czasem jednak opór powietrza spowoduje, że lżejsza kula z plastyku będzie się coraz bardziej opóźniać w porównaniu do sztucznego księżyca. Z wielkości tego oddalenia się będzie można obliczyć wielkość oporu powietrza na drodze obu kul.

Tadeusz Felsztyn

ILEŻ TO szkodliwych konwenansów zagradza ludzkie życie! Należy do nich przesąd, który mężczyźni ubierają w sentencję: „Kuchnia to sprawa wyłącznie kobieca", a potulne kurki domowe w tąż samą sentencję, tylko że zaprzeczoną: „Mężczyzna nie powinien wtrącać się do kuchni". Skutek tych przysłów jest ten, że mężczyźni nie obznajomieni z kuchnią, nie mają zielonego pojęcia o tym, jaka to ciężka praca, a kobiety skazują się na dożywotnią karę garnków i ogonków w sklepach. Czasy wszakże się zmieniają, et nos mutamur in illis. Kobiety w naszej epoce pracują zawodowo na równi z mężczyznami, a prócz tego posiadają przywilej wyłączności wychowania dzieci i troski o nie, o gospodarstwo, o obrządzanie domu i osobiste całej rodziny, o kuchnię. „Bo to sprawy wyłącznie kobiece".

PO ŁEPKACH

KUCHNIA

Stary, patriarchalny przesąd! Wielka zmowa męskiego lenistwa. Atrofia woli i mięśni nie używanych przez długie wieki. Kobieta „wyzwolona", równouprawniona znajduje się dziś w o wiele gorszym położeniu niż w czasach przed emancypacją. Przedtem zajmowała się t y l k o dziećmi, domem i kuchnią, teraz zaś zajmuje się t a k ż e tym wszystkim.

Prawa życia są jednak silniejsze od konwenansów. Ilość mężczyzn przewijających pieluszki, piorących skarpetki, cerujących, ścielących łóżka, trzepiących dywany, pichcących, kupujących jarzyny, pielących ogródki, obcierających dzieciom nosy rośnie z dnia na dzień. Nikt już dziś nie wybucha śmiechem przy stole, gdy na pytanie: „któż to zrobił ten wspaniały kulebiak?" pada odpowiedź: „mój mąż". Pojęcia pana i pani domu zaczynają się zacierać co do kompetencji. W praktyce okazuje się, że kobieta zdolna jest z powodzeniem, a czasem i lepiej od mężczyzny wykonywać wiele prac i zawodów, uchodzących za „męskie", wnosząc do nich cenne cechy natury kobiecej i na odwrót, mężczyźni lekko, o wiele prościej i pogodniej od kobiet dają sobie radę z czynnościami, które dotąd uchodziły za wyłączną domenę niewieścią.

Autor poniższego felietonu poczuł się pewnego dnia zmęczony sarkastycznym uśmiechem żony w odpowiedzi na pytanie, czy tygodniowe pensum na „utrzymanie" jest wystarczające. (Dla poufnej informacji znających się na rzeczy: wynosiło to razem z pralnią £ 2.10.0 od osoby, loco Londyn.) „You should be surprised" — odpowiedziała towarzyszka życia, przy czym język angielski w małżeństwie polskim oznacza bardzo nieżyczliwą atmosferę.

Od tego dnia powiększył się obóz mężczyzn zajmujących się kuchnią domową. A oto uwagi o tej dziedzinie do potomności, dla szyderstwa obojga płci.

Bezpośrednim skutkiem przejęcia kuchni przez męską głowę i ręce był fakt, że żona zaczęła wreszcie dobrze jeść, zaś mąż przeciwnie. Wniosków psychologicznych z powyższego faktu nie powinno się wyciągać nazbyt pochopnie, ale zdaje się, że apetyt towarzyszy osobom, które nie wiedzą, ile co kosztuje, zaś brak apetytu tym, które wiedzą. Przyjemniej jednak sobie tłumaczyć, że mężczyzna kupuje rzeczy lepsze i smaczniejsze, zaś kobieta tańsze i „praktyczniejsze". Mężczyzna woli wydać parę pensów więcej za sałatę, pani domu natomiast woli pędzić autobusem do odległej taniej dzielnicy i nakupić stosy jarzyn, z których połowa już jest zepsuta, albo się zepsuje za parę godzin, a druga połowa jest gorzka i niesmaczna. Jużci taka jarzyna jest praktyczniejsza w gospodarstwie, bo się jej mało zjada. Mężczyzna woli też droższy sklep, gdzie nie ma ścisku, bo czas ceni bardziej od dwu pensów. Pani domu wie także, że najtańsze są rzeczy najdroższe, co język ekonomii wykłada następująco: rzeczy droższe są lepsze od tańszych; język ludowy zaś mówi na ten temat: „za tanie pieniądze psy mięso jedzą".

Zajmowanie się kuchnią i gospodarstwem domowym prowadzi do zupełnie niespodziewanych wniosków. W kuchni mniej liczy się sztuka kucharska, bo w warunkach życia emigracyjnego nie stać nas na żaden wykwint w pożywieniu, a więcej znaczy — czas. Prosta z pozoru potrawa: zielona sałata. Stań, przyjacielu, przy półmisku. Napierw musisz oskubać główkę sałaty listek po listku, potem każdy starannie opłukać z pyłu i ślimaczków, następnie otrząsnąć wodę, dalej każdy listek z osobna polać oliwą, posypać solą, popruszyć pieprzem, skropić cytryną lub octem; k'temu te wszystkie zabiegi powtórzyć z pomidorami i z ogórkiem. A gdzie obranie ogórka, przekrajanie cytryny, oczyszczenie pomidorów, a gdzie mycie rąk po każdym warzywie osobno? Talerz sałaty gotów, ale minęło blisko pół godziny. Albo rosół, który wedle pojęć męskich, robi się wrzucając mięso do garnka. Stań, przyjacielu, przy garnku z projektem na rosół i czekaj, aż wyszumuje. Zbieraj cierpliwie łyżka za łyżką szumy, aż poczujesz niemiłe mrówki w grzbiecie, nie mówiąc już o mnóstwie innych zachodów. To, co, mili Czytelnicy, jecie ze smakiem w minutach, przyrządza się godzinami.

Ale największą zmorą gospodarstwa jest shopping, czyli staropolskie zakupy. Opis tych czynności mógłby zniechęcić kandydatów na panów domu, więc je przemilczmy. Natomiast obalam legendę, jakoby gospodarowanie było w Anglii drogie. Ta pogłoska, to zemsta kobiet, które pudry, kredki i mydełka zwykły zaliczać do budżetu kuchennego. Zresztą gospodarując, musisz się pilnować, a w razie czego oszczędzić na czym innym. Mężczyzna prowadzący dom z notesem w ręku staje się niepojęcie oszczędny. Zaczyna nareszcie rozumieć wartość pieniądza. Czyli że kuchnia daje ludziom wiedzę o dwu sprawach: o cenie czasu i cenie pieniądza.

Kuchnia jest więc kuźnią cnót: poza wymienionymi, pracowitości, punktualności, dokładności, czystości, oszczędności, ale to wszystko jeszcze drobiazg. Kuchnia uczy także szacunku dla pracy, dla domu i dla stylu życia opartego o dom, jest tedy szkołą najzdrowszej ideologii.

Najszkodliwszym hasłem i najbrzydszym snobizmem naszych czasów jest pogarda dla „drobnomieszczańskiego" stylu życia, który jest po prostu tradycyjnym stylem cywilizowanego życia na Zachodzie. Łatwo wszystko ośmieszyć i skarykaturować, ale cóż to radzą rzecznicy nowego ładu w miejsce mieszczańskiego stylu życia? Albo życie kołchoźne albo życie cygańskie. Głównym celem ataków na styl życia „burżuazyjnego" jest właśnie kuchnia: że się je dobrze i smacznie, co podobno nie jest godne kulturalnego człowieka.

Po pierwsze: zaproście najczerwieńszego komunistę lub najbrudniejszego artystę-cygana na smaczny obiad i pilnie obserwujcie, czy ujrzycie na twarzach grymas wstrętu lub obrzydzenia. O nie, przeciwnie, zobaczycie, jak pałaszują, aż się im uszy trzęsą. Zatem nie jadło budzi wstręt w cyganach i materialistach dialektycznych, lecz robota koło jadła albo po prostu zazdrość. Artysta-cygan uwielbia zaproszenia, gardzi natomiast jedzeniem, w wypadku gdy sam je musi przyrządzać lub gdy go do przyrządzonego nie zapraszają. Natura każe nam ciało posilać. Odwieczną zasadą ruchu robotniczego była walka o zdrowe i pożywne jedzenie. „Człowiek sowiecki — pisała kiedyś z dumą „Trybuna Ludu" — lubi zjeść dużo i smacznie." Materialiści dialektyczni lubią jedzenie u siebie, nie znoszą natomiast u kapitalistów i burżuazji. Stąd burżuj jest zawsze w ich oczach opasły, proletariusz zaś, a już zwłaszcza członek partii, krzepki, jak np. światowi wodzowie proletariatu, towarzysze Chruszczow, Bułganin, Malenkow, Cyrankiewicz. Apetyt jest zaiste najsłabszym argumentem klasowym. A ideologia godząca w smaczne jedzenie sama sobie wystawia świadectwo wartości. Jeśli zamiłowanie burżuazji do jedzenia może uchodzić za śmieszne, o ileż śmieszniejsze jest stosowanie ideologicznych miar do tej czynności ze strony jej wrogów!

Odżywianie się jest naturalną koniecznością żywych istot. Człowiek wierzący uważa zmysł smaku za dar Boży i Boga chwali także smakiem, tak jak Jan Kochanowski w swoim psalmie, snem. Jedzenie byle jak i byle czego jest albo świadomym wyrzeczeniem i umartwieniem się dla wyższych celów albo lenistwem i niegodną człowieka abnegacją. Grzechem jest tylko obżarstwo, ale nie smaczne jedzenie. Człowiek kulturalny dba o pożywienie, tak jak dba o godziwe i estetyczne zaspokojenie wszystkich innych zmysłów. Stołówki kołchoźne i niemyte miski cygańskie są natomiast nawrotem do zwyczajów jaskiniowych i lekceważeniem darów nieba. Zwłaszcza artyści powinni być świadomi istnienia estetyki smaku, skoro takim kultem otaczają zmysł wzroku czy słuchu.

Zresztą stół to nie tylko pochłanianie mięs, ciast i warzyw. To jeszcze miejsce, gdzie się rodzina i w ogóle ludzie najbliżej spotykają i najlepiej poznają. To ława szkolna dobrych obyczajów, taktu i charakteru. To ognisko ciepła rodzinnego i miejsce wymiany myśli, poglądów na świat, słowem, kuźnia cywilizacji. Któż zaprzeczy, że przy stole, jeśli kto tylko przy nim siadał, przy posiłkach, w domu i poza domem, człowiek się wiele uczy i poznaje drugich? Jakże mądry i piękny jest chrześcijański zwyczaj zaczynania i kończenia posiłków modlitwą! Jakże wymowny „mieszczański" zwyczaj całowania przez dzieci rąk matki po skończonym posiłku! Oba te zwyczaje wysoko wynoszą godność stołu.

Stół i kuchnia zatem, to fundamenty życia rodzinnego i cywilizowanego. Kto się uważa za człowieka kulturalnego, powinien znać nie tylko rozkosze stołu, ale i radości kuchni, od zakupów po zmywanie naczyń. Tyczy to szczególnie wszelkiego kalibru intelektualistów. Wrota do kultury wiodą także przez kuchnię.

J. B.

CYPR MALOWNICZY (4

Napisał WIT TARNAWSKI

Wojny i wieki rozbiły z czasem jednolitość tej budowy, porównały ze skałą nie jedno, co ze skały wyrosło — ale mur obronny trzeciej najniższej kondygnacji, obiega do dzisiaj prawie nie tknięty podstawę góry, jak gdyby broniąc przed intruzami wznoszących się ponad nim, wspaniałych szczątków.

Powiedziałem, że pierwsze wrażenie, jakie rodzi się przy spojrzeniu na zamek — to niebosiężność. Drugie: nierozdzielność, istne zespolenie się góry z zamkiem. Pogmatwana koronka murów i wieżyc tak wyrasta tutaj ze skał, czy na zawsze w nie już wrosła, że sama wygląda jak odszczepy skalne, wyrzeźbione tak dziwnie przez czas i przypadek. Twór przyrody i twór człowieka stanowią niemal jedność.

Ale najmocniejsze wrażenie, jakie z kolei mnie spętało, gdy począłem snuć się po tych górnych murach — było wrażenie bajki. Bo zamek św. Hilariona to naprawdę nie jest już dziedzina rzeczywistości, dzisiejszej czy historycznej — jak inne zamki na Cyprze — lecz jakiś zaczarowany świat baśniowy starego Grimma.

Toteż moja fantazja historyczna zawodzi mnie całkowicie. Nie wyobrażam sobie wcale wśród tych murów rycerzy z XII czy XIII stulecia, którzy ten zamek naprawdę wznieśli i zamieszkiwali, ale widzę stąpające tu po krużgankach księżniczki w powłóczystych, białych szatach, paziów niosących za nimi puzderka z klejnotami i zaklętych książąt szukających wybawienia u ich stóp — jak na romantycznych rysunkach Maurycego Schwinda.

Niebo nad zamkiem jest w tym dniu także jak gdyby z bajki — całe postrzępione w małe, białe obłoczki — obejmujące, niby perłowo niebieska koncha, tę cypryjską „szklaną górę".

Opactwo Bella-Pais. Kiedy się wreszcie — z niebyle żalem — opuszcza górę św. Hilariona i, przeciąwszy gościniec kyreński, podjeżdża do opactwa Bella-Pais, znajdującego się po przeciwnej stronie gościńca, to jak gdyby się zeszło z nieba na ziemię — ale jakże piękną i doskonałą w swojej ziemskości. Samo opactwo, pobudowane na łagodnym zboczu, wśród czereśniowych sadów — jest bodajże najwykwitniejszym i najbardziej harmonijnym dziełem gotyku, ze wszystkich, jakie w swym życiu widziałem. Czworokątny dziedziniec klasztorny, niegdyś pełen wyszukanych drzew i miłego cienia, stanowi ośrodek całości. Dokoła dziedzińca biegnie śliczny krużganek, którego ornamenty czas poszczerbił, lecz nie zdołał dotąd zatrzeć ich wyrazu. Po lewej ręce mamy refektarz, po prawej kaplicę klasztorną, a w tyle czytelnię i dormitorium — wszystko o tych samych wymiarach, jakkolwiek odmiennej, pełnej wciąż nowych pomysłów konstrukcji. W gotyckim opactwie wyczuwa się grecki zaiste umiar — jak gdyby duch niedalekiej Hellady koił gotycki niepokój mistrzów tego arcydzieła a harmonijna wizja Partenonu przyświecała ich myślom.

Najcudowniejszy jest refektarz. Cóż za wzruszająca lotność i subtelność pęków kamiennego prętowia, strzelającego wzdłuż ścian ku górze i oplatającego potem wdzięcznie wysoki strop — przy czym nic jeszcze z natłoku, przesady i zbytniego zwątlenia ornamentyki, jakie cechują późniejszy gotyk. Złoty środek piękna.

Czytelnia i sypialnia mniej są już wyborne w swym pięknie, a nawet nie tak czysto gotyckie. Wydają się niższe, przyziemne, bardziej cielesne. Kolumny i kapitele — solidne tu i obficie zdobione — niewiele różnią się od tych, jakie się widuje w pogańskich świątyniach Cypru. Toteż raczej duch oświeconej Grecji czy Rzymu, zdaje się panować w w tej czytelni mnichów z XIII stulecia, aniżeli nieziemski nastrój gotyku. I już niepodobna wyobrazić sobie w tej części opactwa, braci pozdrawiających się w wieczornej godzinie napomnieniem: „Memento mori".

Jeszcze inny — ciężki i ubogi w wyrazie, jakby wczesnogotycki — jest kościół opactwa, stanowiący lewe ramię podkowy, która obejmuje krużganek klasztorny. Ale nawet ta uboga odmiana gotyku przyczynia się do wzbogacenia wspaniałej, wielostrunnej harmonii całości.

Spieramy się, towarzysze wycieczki, czy klasztor ten był dziełem wielu, czy jednego tylko artysty. Upieram się przy jednym. W rozkładzie opactwa widzi się taki świadomy umiar, taką jednolitość zamierzenia artystycznego — że mogło się ono począć w duchu tylko jednego człowieka, przynajmniej jeśli chodzi o plan całości. Odmiany nastroju i stylu świadczą jedynie o kapryśnym bogactwie geniuszu średniowiecznego architekty.

Z Bella-Pais do Kyrenii jest już tylko skok, tak że zdążyliśmy jeszcze na obiad. Po obiedzie ciągnie mnie do położenia się na piasku nadmorskim i błogiego far niente (to senna Kyrenia zaczyna już czarować), ale pobudzony wrażeniami ranka, mam jeszcze na tyle energii, by ruszyć na miasto i zwiedzić je od razu. I po chwili jestem rad, że dzisiaj to uczyniłem.

Bo kiedy przejdzie się wszerz i wdłuż wdzięczne uliczki osiedla, obejrzy się jego potężny zamek i stary, zaciszny port pod strażą latarni morskiej — z uczuciem, że się ten widok skądś dobrze zna, bo takie są mniej więcej wszystkie portowe miasteczka w południowej Francji — i kiedy potem raz jeszcze zwróci się oczy ku zapleczu gór Kyreńskich, by pozdrowić myślą strzelisty cokół św. Hilariona i cud Bella-Pais, ukryty gdzieś wśród ogrodów i winnic łagodnego zbocza — wtedy dopiero wszystko, co widziało się w tym dniu, zbiega się i wiąże w całość, w piękne pojęcie Kyrenii.

Nie ulega wątpliwości, że jest to zakątek wyspy najpiękniejszy. I najczyściej europejski. Nie znać tu prawie zupełnie wpływów Wschodu, który tak natrętnie się wdzierał np. w uliczki Nicosii. Wschód, upał i susza zostały po tamtej stronie gór Kyreńskich.

Nie dziwi, że ten udzielny skrawek soczystej ziemi Kyreńskiej szczególnie musieli sobie upodobnić goście z dalekiego Zachodu, czy Północy, gdy niesieni falą wypraw krzyżowych zaczęli tu w zamierzchłej przeszłości napływać, dlatego też zaparli się tu najmocniejszymi zamkami, tu pozostawili wiekopomne budowle, na wierny obraz i podobieństwo własnego, porzuconego z dobrej woli świata. Osłonięci od żarów południa chińskim murem gór Kyreńskich, zwróceni ku północnemu morzu, które ich na te brzegi rzuciło, czuli się tutaj, jak gdyby jeszcze nie całkiem odłączeni od swego kraju, czuli się doń jeszcze wciąż przynależni. I do dzisiaj, ta mała cząstka cypryjskiej wyspy, wydaje się niby odbitym w zwierciadle obrazem „starej ziemi", ku której z daleka spogląda i której wizję przynieśli niegdyś w duszach swoich wojowniczy wędrowcy.

Platres, 29. 5. 1941. Staję w oknie mojego pokoju i patrzę na krajobraz tak dobrze mi znany, oglądany co dzień od miesięcy. Upał południowej godziny powleka w tej chwili wszystko siwą oćmą — od zielonego zaplecza gór Troodosu, aż po dalekie morze. Morza widać stąd tylko mały wycinek, między spadami wzgórz, ale wiem, że jest ono wszędzie dokoła, i że gdybym wstąpił na najwyższy szczyt Troodosu, ujrzałbym po przeciwnej stronie górskiego wału, również — morze. I jakoś mocniej niż kiedykolwiek czuję, że to jest właśnie Cypr — wyspa oblana wodami.

Niesie się ona wśród morskiego błękitu niby galera starożytnych królów — bogata i pełna obfitości, mieszcząc na swoim szerokim pokładzie góry i doliny, zamki i letniska — twory przyrody i dzieła człowieka — wszystko, z czego składa się przeogromny świat, w jędrnym doskonałym wyborze.

KONIEC

Wit Tarnawski

LUDZIE I ZDARZENIA

Pani Dębska z Okęcia (Warszawa) otrzymała ostatnio licencję na otwarcie pierwszego prywatnego hotelu dla lotników. 16-pokojowy hotel-pensjonat mieścić się będzie przy ul. Słowiczej, o 200 m od warszawskiego portu lotniczego. Podobno wiadomość o jego otwarciu przyjęta została z entuzjazmem przez personel latający „Lotu".

✱

„Ametyst", brytyjska fregata, wsławiona głośnym incydentem w czasie wojny domowej w Chinach, skazana została obecnie na rozbiórkę, którą rozpoczęto już w dokach Sutton Pool (nasze zdjęcie). W roku 1949, niewielki ten okręt płynął w górę rzeki Jang-tse mając misję chronienia obywateli brytyjskich przebywających w Nankinie zagrożonych ofensywą wojsk komunistycznych. Pomimo tego pokojowego zadania i pomimo neutralności Wielkiej Brytanii „Ametyst" został znienacka ostrzelany przez czerwoną artylerię; zabity został jego kapitan i prawie połowa załogi. Ponadto, na skutek uszkodzeń i śmierci chińskiego pilota, statek został praktycznie unieruchomiony i to w zasięgu baterii „chińskiej armii wyzwoleńczej". Po długich i bezowocnych pertraktacjach z jej dowództwem — które żądało oficjalnego przyznania się, że to „Ametyst" pierwszy otworzył ogień — nowemu kapitanowi udało się, nocą i znowu pod obstrzałem, wyprowadzić fregatę z powrotem na morze, gdzie połączyła się ona z resztą brytyjskiej floty dalekowschodniej. Chociaż ten „mały dzielny statek" przestaje istnieć, pamięć o jego wyczynie na Błękitnej Rzece pozostanie dla przyszłych pokoleń marynarzy jako wzór hartu i wierności załogi oraz odwagi jej kapitana.



Charlie Chaplin opuścił, jak wiadomo, przed kilku laty niegościnną, jego zdaniem, Amerykę i osiedlił się wraz ze swą liczną rodziną w Szwajcarii w miejscowości Vevey. Obecnie wielki aktor zamierza się znowu przeprowadzić. Jedyną tego przyczyną jest bezpośrednie sąsiedztwo jego luksusowej willi z miejską strzelnicą. Strzelanie (do celu) jest bowiem, jak się okazało, narodowym sportem Szwajcarów i Chaplin czuje się w tym tradycyjnym pokojowym kraju jakby był na wojnie. Wskutek jego licznych interwencji, władze miejskie zaangażowały najlepszych specjalistów dla przeprowadzenia desonoryzacji strzelnicy. Prace te kosztowały 700.000 franków i dały tylko nikłe rezultaty. O przeniesieniu stadionu za miasto strzelcy z Vevey nie chcą nawet słyszeć. „Charlot" też jest uparty i zażądał przez swego adwokata 40.000 fr. odszkodowania za każdy dzień o zakłóconym spokoju. Veveyanie są w prawdziwej rozterce: nie chcą ewakuować strzelnicy, ale nie chcieliby też stracić Chaplina, który stanowi jedną z głównych „atrakcji" okolicy. Najmocniej zaś nie chcą... płacić.

✱

REGULARNIE WPŁACANA PRENUMERATA JEST PODSTAWĄ EGZYSTENCJI PISMA.

NIE ZWLEKAJ Z OPŁATĄ NALEŻNOŚCI ZA DRUGIE PÓŁROCZE!

System dziesiętny wprowadzony został od 1 kwietnia w Indiach. Premier Nehru, w specjalnym w tej sprawie orędziu do narodu stwierdził, że nie jest to przyjęcie wynalazku cudzoziemców, a przeciwnie powrót do dawnego odkrycia dokonanego przez uczonych hinduskich, którzy dali ludzkości cyfrę „0". Wprowadzenie nowego (pardon — prastarego) systemu objawiło się, rzecz prosta, niecodziennym — nawet jak na Indie — chaosem w codziennym życiu spokojnych ludzi. Zamknięto banki, bilety tramwajowe i znaczki na poczcie kupuje się już nową monetą „naya paisa" stanowiącą setną część rupii, za to telefony funkcjonują tylko na starym bilonie, który jednak w ciągu kilku dni zniknął z obiegu. Nowej monety jest zresztą ciągle za mało i zapowiedziano oficjalnie, że oba systemy — dawny i nowy — będą ważne równocześnie przez okres najbliższych trzech lat. W związku z tym od 1 kwietnia br. nieodłącznym akcesorium Hindusa, który w ogóle posiada jakieś pieniądze, jest tabelka przeliczeń, jaką wydrukowano w dziesiątkach milionów egzemplarzy.

✱



Strajk pracowników transportu miejskiego, jaki ogłoszono niedawno w Paryżu, nie odbył się bez malowniczych ulicznych zajść. Zdjęcie nasze przedstawia chwilę starcia się pochodu strajkujących, zamierzających przeprowadzić „oblężenie" gmachu ministerstwa transportu przy bulwarze St. Germain, z uzbrojonymi oddziałami tzw. Gardens Republicaine, które zagrodziły im drogę. Te ostatnie posługiwały się przy tym znanym (również przedwojennej polskiej młodzieży akademickiej) urządzeniem zwanym motopompą.

✱

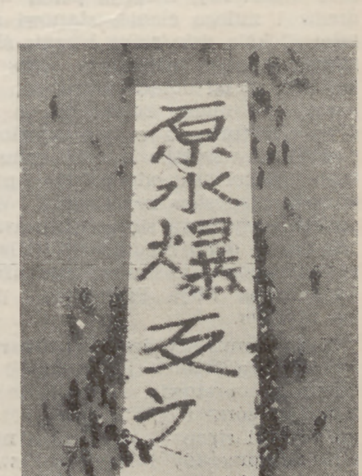
200.000 samobójstw popełniono w Niemczech zachodnich od czasu zakończenia ostatniej wojny. Specjalna komisja lekarska, powołana przez rząd w Bonn, przeprowadza obecnie studia dla ustalenia najczęstszych przyczyn tych aktów rozpaczy.

✱

4 tybetańscy lamowie „wybrali wolność". Stało się to przy okazji ich oficjalnej i o religijnym charakterze wizyty w Indiach, w pierwszych dniach maja. Pomimo licznych nalegań i poselstw z Tybetu, duchowni ci — przełożeni największych „na dachu świata" klasztorów — odmówili powrotu do swego kontrolowanego dziś przez chińskich komunistów kraju.

✱

Szosziczi Nakatsu, japoński nauczyciel kaligrafii, stworzył o własnych siłach największy afisz na świecie (zdjęcie poniżej). Składa się on z pięciu japońskich liter dających w sumie słowo „sprzeciw". Chodzi oczywiście o protest przeciwko brytyjskim doświadczeniom bronią wodorową. Japoński pacyfista malował swój transparent w świątyni miasta Osaka, na „arkuszu" papieru o 250 m kw. powierzchni, posługując się pędzlem, który ważył 13 kilogramów. Zamiarem p. Nikatsu było przesłanie tego dzieła parlamentowi brytyjskiemu, za pośrednictwem japońskiej ambasady w Londynie



Printed by Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734